

Wystąpienie amb. St. Przygodzkiego w Wiedniu

(DOKONCZENIE NA STR. 2)

(DOKOŃCZENIE NA STR. 2)

Fot. CAF

Willy Brandt podkreślił następnie, że nie ma mowy o alternatywie: Polska albo pokój. Nie tylko dlatego, że również dla Polski pokój jest sprawą życiową. „Tylko kontynuacja polityki odprężenia

DOKONCZENIE NA STR. 2

CTWO LITERACKIE POLE-
oficyna, która od początku
się samodzielna i samofinan-
wiada wielce interesujący
niczy. My proponujemy nat-
rom opowiadanie Henri
RRATUM ze zbioru „DIA-
YDŁA”.

BERLIN (PAP). Jak poinformowała agencja ADN, najwyższy sąd wojskowy w Berlinie skazał Karla Rechenbergera, mieszkańca Berlina Zachodniego, na karę 15 lat więzienia za działalność szpiegowską i dywersyjną wymierzoną przeciwko Niemieckiej Republice Demokratycznej. Skazany był agentem wywiadu zachodnioniemieckiego; swoją działalność rozpoczął już w 1969 r.

Redakcyjna dyskusja

* udziałem sekretarza do spraw nauki KK PZPR Kazimierza Augustynka, prof. dr Józefa Buszki, rektora UJ Józefa Gierowskiego, prof. dr Mariana Stepienia i red. Konrada Strzelewicza.

K. STRZELEWICZ: W związku z wywołaniem przez Mieczysława Rakowskiego, a głównie przez Kazimierza Koźniewskiego problemu zachowań i postaw inteligencji polskiej w okresie posierpniowym, redakcja „Gazety Krakowskiej” postanowiła udostępnić swoje łamy dla dyskusji, której celem byłoby m. in. uzyskanie odpowiedzi na temat odpowiedzialności inteligenta polskiego za to, co się stało. Czy jest on „winny”, jak chce Koźniewski, za rozszalałe ekstremizmy, za dążenie, z powodu braku umiaru, do przepaszczenia posierpniowych zdobyczy „połapujących kondycje państwową naszego społeczeństwa”. Czy, cytując znów Koźniewskiego, „grupa inteligencji jak gdyby zatraciła poczucie wrażliwości, które tak ją wyróżniało w latach międzywojennych”. I kolejny zarzut: „Znaczną grupę pisarzy, filmowców, aktorów, dziennikarzy, nauczycieli, studentów i wielu profesorów — stwierdził Koźniewski — ogarnął amok. Amok przyspieszenia i destrukcji, amok anarchy”. Proszę, prof. Buszko.

J. BUSZKO: Myślę, że przystępując do dyskusji na temat inteligencji polskiej, konieczne jest przypomnienie kilku historycznych prawd i ustaleń, ponieważ o to samego terminu istnieje już szereg nieporozumień. Np. termin ten jest zupełnie niezrozumiały na zachodzie Europy. Wiemy, że zachodni badacze, pisząc prace na temat dziejów stosunków społecznych, gdy mówią o stosunkach polskich, termin „inteligencja” daje w cudzysłowie, a czasem go nawet objaśniają. Jest to bowiem twór w społeczeństwie zindustrializowanym niezrozumiały, wykrystalizowany natomiast w specyficznych warunkach państw Europy wschodniej i środkowoschodniej. W związku z tym powstaje problem, czy my w Polsce jeszcze możemy mówić o „inteligencji”, skoro już przekroczyliśmy pewną barierę industrializacji, skoro społeczeństwo nasze w ciągu 35 lat istnienia Polski Ludowej stało się społeczeństwem państwa o najmniej średnio zindustrializowanego. Pojawia się zatem problem, czy nie powinniśmy już zacząć u nas mówić zamiast o „inteligencji” — po prostu o pewnych grupach zawodowych, profesjonalnych, wrośniętych bardziej w określony zawód, w korporację, sytuację społeczną związaną z procesem wytwarzania. A więc na wstępie stawiam pytanie — czy jest jeszcze u nas „inteligencja”?

J. GIEROWSKI: Pojęcie inteligencji istnieje w świadomości społecznej Polaków, choć nie da się zaprzeczyć, że jest to warstwa bardzo zróżnicowana, podzielona, składająca się z rozmaitych elementów, których więź wewnętrzna praktycznie nie istnieje. Z tego względu mowa o „inteligencji” jest pewnym uproszczeniem. Myślimy się przyzwyczajali tak mówić, przy czym właściwie nie bardzo już rozumiemy, kogo określamy tą nazwą, jaką grupę ludzi. Będzie tu grupa inteligencji twórczej, której głównie dotyczą ostatnie dyskusje oraz np. grupa inteligencji technicznej, urzędniczej czy wiejskiej. Nie jest to zatem warstwa jednorodna i jałd będzie jej dalszy rozwój, trudno przewidzieć. Natomiast traktowanie inteligencji jako całości jest niewątpliwie błędem.

M. STEPIEN: Myślę, że w kontekście naszych polskich rozmów i dyskusji przez inteligencję rozumie się głównie intelektualistów, ludzi parających się zawodami twórczymi, którzy z racji swojej rangi i pozycji odgrywali i odgrywać w dalszym ciągu dużą rolę opiniotwórczą w narodzie. Są to ludzie cieszący się niejednokrotnie dużym autorytetem moralnym czy rangą intelektualną. Stąd też m. in. mamy często do czynienia z pretensjami władz w stosunku do inteligencji twórczej, bądź też z pretensjami intelektualistów w stosunku do władzy. Na linii tej często dochodzi do sytuacji kryzysowych, do zaostreżenia sytuacji, czego wyrazem są choćby ostatnie wystąpienia Rakow-



sekretarz KK PZPR
KAZIMIERZ AUGUSTYNEK



prof. dr JÓZEF BUSZKO



rektor UJ JÓZEF GIEROWSKI



prof. dr MARIAN STEPIEN



red. KONRAD STRZELEWICZ

O ROLI I POSTAWACH

INTELIGENCJA

skiego i Koźniewskiego oraz echa tych wystąpień. Gdy się o tym myśli, to jedno najwięcej martwi — ten zakłóty krag, z którego my, to znaczy Polacy, nie umiemy wyjść. Jeżeli bowiem obserwujemy rozwój sytuacji po II wojnie, to widzimy okresy, kiedy inteligencja obrażona jest na władzę, oraz fazy, kiedy z kolei władza obrażona jest na inteligencję. W tej chwili obserwujemy właśnie taki stosunek wzajemny, obrażenia się czy pretensji. Widzimy to choćby w wystąpieniu Rakowskiego z jednej strony, a z drugiej w niechęci, w niedostatecznym zaangażowaniu się inteligencji w proces wychodzenia z aktualnego kryzysu.

Niepokoi mnie, że w tych utarczках i przetargach nie dość wyraźnie zaznacza się wyższy horyzont myślenia, w którym nie są ważne wzajemne obrażenia, lecz służba czemuś większemu, nadrzędnemu — kulturze narodowej, państwu polskiemu, dobru społecznemu. Tymczasem zachowanie się obu partii, różny przypominam znane nam z Gombrowicza przejawy niedojrzałości. Pretensje wzajemne nie są bowiem rozłożone w imię wartości wyższych. A bez przełamania tych barier, uprzedzeń i pretensji, bez pełnego włączenia się inteligencji twórczej w proces pokonywania kryzysu, my z tego kryzysu, zwłaszcza w jego aspekcie politycznym, nie wyjdziemy. Ważny jest węgiel, ważne jest zboże i mięso, ale są też istotne i wielkie wartości narodowe w sferze życia duchowego społeczeństwa, których rozwiązywanie bez udziału inteligencji twórczej jest niemożliwe. Dlatego, w interesie narodu i państwa, trzeba, że nie pasowemu sytuacji jak najszybciej przekraczać.

Jeśli chodzi o Koźniewskiego, to w moim przekonaniu do takiego pisania miał moralne prawo, gdyż w tym duchu pisał on zawsze. Nie jest to zatem nic nowego w jego myśleniu i nie można go osądzać o koniunkturalizm. W wielu momentach ma też rację, tyle, że swoje poglądy wyraża nazbyt obco, swojo, za gwałtownie, nie licząc się ze stanem dużej wrażliwości środowiska intelektualnego, jego obolałości. Stąd może się wzięły reakcje negatywne na jego wystąpienie.

przy innych okazjach, pojawiał się mit o ponadklasowym charakterze inteligencji, o jej swoistym posłannictwie społecznym wynikającym z tworzenia i upowszechniania wartości duchowych. A przecież głównie procesy industrializacji, o których mówił prof. Buszko, spowodowały istotne zmiany w usytuowaniu inteligencji w strukturze społecznej, co powoduje konieczność innego spojrzenia na jej rolę. Nie bez znaczenia są tu również powojenne zmiany w składzie wewnętrznym tej warstwy, spowodowane masowym napływem do niej wykształconej młodzieży z klas robotniczej i chłopskiej. I z tego także względu rozpatrywanie inteligencji, jako warstwy jednolitej, swoiście zamkniętej, nie jest słuszne. Proponowałbym też rozszerzenie naszych zainteresowań w tej dyskusji poza krag wyłączenia inteligencji twórczej. Dziś, przede wszystkim interesują nas te kregi inteligencji, które wywierają szczególny wpływ na kształtowanie ludzkiej świadomości. Mnie obojętne, że względów profesjonalnych, interesuje głównie kształtowanie świadomości młodzieży, stąd proponuję włączyć w krag tej rozmowy nauczycieli, jako ważną z tego punktu widzenia część składową polskiej inteligencji. Do nich przecież także adresowane jest wiele pretensji o skutki ich działalności wychowawczej. Nie wdaję się w analizę szczegółową tych problemów, wspomnieć jednak trzeba, że przy tak formułowanych zarzutach najczęściej nie bierze się pod uwagę szerszych, społecznych uwarunkowań procesu wychowania i wielu ważnych niedostatków programowych w treściach kształcenia, głównie w przedmiotach humanistycznych i społecznych.

A jeśli już mówimy o pretensjach, czy wielu złożonych pytań stawianych dziś inteligencji przez władzę, ale także i przez klasę robotniczą, z czym spotykam się m. in. na zebraniach partyjnych, to według moich obserwacji pytania robotnicze dotyczą przede wszystkim tych problemów, które przedstawicieli inteligencji podejmowali w środkach masowego przekazu, a na tej podstawie nie można chyba osądzać całej złożonej i niewątpliwie zróżnicowanej warstwy intelektualnej.

W moim przekonaniu także dotychczasowe funkcjonowanie inteligencji w różnych zespołach ekspertów, doradców zarówno w działalności państwowej jak i związkowej; sposoby korzystania z tego doradztwa i komunikowania o tym szerokiej opinii społecznej, a nade wszystko gospodarze i politycy — społeczne skutki podejmowanych w oparciu o nie decyzji — powoduje wiele rozgoryczenia i pretensji, kierowanych pod adresem całej inteligencji.

J. GIEROWSKI: Wprowadziłbym do tego pewną modyfikację. Otóż, jeśli już tak mówimy o tych 18 miesiącach, to chciałbym zwrócić uwagę, że to wcale nie był okres jednorodny. Mamy tu bowiem właściwie do czynienia z dwoma okresami. W pierwszym, gdzieś do lata, kiedy to gama poglądów i wystąpień była rzeczywiście szeroka. Potem mamy już okres drugi, jesienią, okres, w którym nastąpiła gwałtowna polaryzacja stanowisk, przy czym zgodziłbym się, że stanowiska i głosy spokojniejsze, bardziej umiarkowane nie miały już wówczas należnego wzięcia. Nie oznacza to, że ich nie było, ale po prostu mało były słyszane i powstało wrażenie, że w kraju zapanała jednorodny system poglądów i wszyscy lecimy w jednym kierunku.

Na rozwój sytuacji w naszym kraju złożyły się rozmaite przyczyny, o których w kontekście dyskusji o inteligencji powinniśmy sobie konieczne powiedzieć. Właśnie to z przeszłości polskiego inteligenta, z jego rodowodem i rolą w narodzie, o czym już żeśmy mówili. Dla mnie istotnym jest ponadto to, co nazwałbym dwoma duszami polskiego inteligenta. Tak, jak dawniej mówiło się, że chłop ma dwie dusze. Otóż inteligent polski z jednej strony ma duszę romantyka, z drugiej pragmatyka. Z jednej strony ma duszę człowieka wychowanego w wzorach walk narodowych, walk zakochanych kłeska, katastrof, ale które były, których wielka idea pozostała i która trudno przecież kwestionować, bo skazemy się

J. BUSZKO: Wydaje mi się, że w trakcie przełomu politycznego, którego byliśmy w ostatnim okresie świadkami, postawy i poglądy inteligencji były jednak bardzo zróżnicowane. Dlatego wyrywkowe traktowanie spraw, wyrokowanie na podstawie garści przykładów wyrwanych z kontekstu, z całej wielkiej złożonej sytuacji, muszą prowadzić do uproszczeń. Postawy inteligentów były bowiem bardzo różnorodne, podobnie jak różnorodne były postawy klasy robotniczej, chłopstwa, drobnych producentów. Z tym, że w ogniu ostrej walki politycznej do głosu doszły postawy najbardziej jaskrawe, skrajne, krzyżące, które najczęściej zabarwione były pewnym ekstremizmem. Przy czym przez pojęcie ekstremizmu rozumiem postawy o typie maksymalistycznym, obojętne, czy to był maksymalizm typu romantycznego, czy pragmatycznego. Przecież mówiło się też, żeby nie ruszać, nie w Polsce nie zmieniać. Przy tym drugim typie wypowiedzi maksymalistycznych pojawiały się również głosy, że dziś mamy takie same klasy i warstwy, jak w 1945 r., a może politycznie jest znacznie gorzej niż wtedy, wobec czego teraz należy zastosować jeszcze ostrzejsze środki.

Nawiązując do tego, co powiedział rektor Gierowski o pierwszej fazie naszego przełomu, wtedy istotnie dawało się zauważyć istnienie sił, które określano siłami rozsądku, porozumienia, patriotyzmu. Przypuszczam, że osobiście miałem nadzieję, że właśnie w tym kierunku pójdzie rozwój wydarzeń. W wielu rozumowałem podobnie i w podobnym też duchu zabierałem głos. W moim przekonaniu była to wówczas (a jest i chyba będzie) jedyna szansa wyjścia z naszego wieloaspektowego kryzysu politycznego, ideologicznego, ekonomicznego. Rzecz jednak poszła w innym kierunku, w kierunku zaostreżenia wzajemnych pretensji. Aż doszło do 13 grudnia.

Jakież w tej sytuacji moglibyśmy znaleźć lek, żebyśmy się porozumienia i rozsądku, po prostu doszły do głosu? W moim przekonaniu, one przesła nie przegrały wszystkiego, lecz tylko pierwszy akt dramatu. Wydaje mi się więc, że należy porzucić z jednej strony maksymalizm romantyczny, a z drugiej strony oprzeć się na pragmatyzmie zmierzającym do zasadniczej modernizacji i poprawy Rzeczypospolitej. Jeżeli ten ton zacząłby dominować, wówczas byłoby to chyba optymalne wyjście z chaosu ideowego, który się na dziś ukształtował.

Myślę przy tym, że sprawa nie zależy tylko od grupy intelektualistów. Nawiążę tu znów do owego zróżnicowania inteligencji. Przecież mamy tu wielorakie problemy. Chodzi nie tylko o ideologię, o oddziaływanie na postawy młodzieży. Chodzi też o kulturę polityczną społeczeństwa, o co powinni zadbać politolodzy i politycy-praktycy. Chodzi też o kulturę pracy, o którą powinni zadbać nasi inżynierowie, nasza inteligencja techniczna. Nie wystarczy przecież samo administrowanie fabryką, gdy ważne jest również to, aby wychowywać ludzi w kucle dla pracy. Na tym tle w toczącej się obecnie dyskusji o inteligencji bardzo mi się podobają wypowiedzi prof. Mańkowskiego z Lublina, który powiedział, że społeczeństwo nasze jest moone w destrukcji, w buncie, w zryw, nie ma natomiast poczucia konstrukcji, budowania, udoskonalania struktur organizacyjnych.

J. GIEROWSKI: Za pozwoleniem pana profesora, w tej kwestii przypomnę tylko, o czym już pisałem inni: że w ciągu stu lat to społeczeństwo potrafiło jednak czterokrotnie budować aparat państwowy. Po raz pierwszy w trakcie Powstania Styczniowego, drugi raz w 1918 r., trzeci raz po 1939 r., podczas okupacji oraz po raz czwarty po 1945 r. Uważam zatem, że my na te swoje możliwości organizacyjne patrzymy nazbyt pesymistycznie. Raczej naszą słabością nie jest to, że nie potrafimy się zorganizować, ile, że tych form, które tworzymy, nie potrafimy do końca wykorzystać, gdyż nie jesteśmy zbyt wytrwali, systematyczni i rozróżni.

Jeżeli już jednak o słabościach mówimy, to chciałbym tu zwrócić uwagę na niezwykle istotną kwestię, jaką jest połączenie problemu narodu z problemem państwa. Na Za-

mnie wartość tak istotną, której nie wolno narażać w żadnej sytuacji. Nie jestem natomiast pewien, czy inteligencja polska zdaje sobie w pełni z tego sprawy, gdyż, jak już mówiłem, w naszej strefie rozwój historyczny był inny i stworzył jakby pewną dwójność w naszym stosunku do państwa. Można ją nazwać wprost defektem.

J. BUSZKO: W polskiej historiografii i publicystyce mało doceniany jest fakt, że w strefie narodów walczących w XIX i XX w. o wolność byliśmy jedynym narodem, który jednak ruch narodowo-wyzwoleńczy wiązał z kategoriami państwowymi. To znaczy byliśmy narodem, który walczył o odbudowę naszego państwa. Inne narody walczyły o prawa językowe, a potem co najwyżej o autonomię. Jeszcze w czasie I wojny światowej nie kto inny tylko Edward Benes mówił, że maksymalnym celem jego dążeń jest autonomia. I sprawa, czy państwo tworzy naród, czy naród tworzy państwo, była właśnie mocno dyskutowana w dwudziestolecu międzywojennym pomiędzy ugrupowaniami, które reprezentowali Dmowski i Piłsudski. Jak się okazuje, w Europie częściej były przypadki tworzenia narodu przez państwo. Przykładem choćby Szwajcarii czy Belgów. Państwo zdołało wpoić grupom często niejednorodnym etnicznie przekonanie o konieczności symbolizacji na jednym określonym terytorium, pod jedną władzą państwową. Podczas, gdy brak własnego państwa prowadzi do rozbitcia, rozczłonkowania danego narodu. I nam to też groziło pod koniec XIX w. stąd przecież narodził się Ruch Wszechpolski, aby przeciwstawić się trójpaństwowej, próbom wrośnięcia rozczłonkowanego narodu w trzy państwa zaborcze. Ten sam problem podnoszony był również na lewicy, w ruchu socjalistycznym. Dlatego też z chwilą, gdy odzyskaliśmy niepodległość, kult własnej państwowości stał się rzeczą niesłychanej wagi. Dostrzegali to również działacze międzynarodowego ruchu robotniczego, wystarczy się w tej kwestii powołać choćby na Lenina, który twierdził, że Polska i Finlandia powinny bezwarunkowo odzyskać niepodległość.

K. AUGUSTYNEK: Chciałbym do tego, co powiedział prof. Buszko dorzucić jeszcze jeden motyw. Otóż w dwudziestolecu międzywojennym sprawa narodu — państwo miała mocne odbicie w systemie wychowawczym, w oświacie. I nie wiem czy nie można postawić pytania w ten sposób, że dziś, pokolenie, które przeszło przez szkołę międzywojenną, którą po r. 1927 zdominował nurt wychowania państwowego — czy dzisiaj w całej złożoności sytuacji wartościujące myślenie przez pokolenie najstarsze nie wywodzi się także stamtąd? I czy my w okresie powojennym, podnosząc cały szereg innych słusznych spraw i kierunków w wychowaniu, postąpiliśmy słusznie, że sprawom socjalistycznego państwa, w całej złożoności tych problemów, nie poświęciliśmy należytej uwagi w kształceniu historycznym i obywatelskim. Problemy te były związane zbyt jednostronnie z czynnikami władzy państwowej.

J. GIEROWSKI: Coś tu jest na rzeczy, z całą pewnością.

M. STEPIEN: W praktyce dzieje się tak, że państwo często utożsamiane jest u nas z rządem. A przecież są to dwie różne rzeczy. I dlatego propaństwowa propaganda po 1945 r. społeczeństwo przyjmowało często jako propagandę na rzecz decyzji aktualnego rządu. Rady się zmieniają, państwo zaś trwa. I dlatego to, co panowie słusznie mówią o wychowaniu państwowym, wychowaniu w duchu poszanowania państwa, może być odbierane jako działanie na rzecz aktualnej ekipy rządowej, która przecież poprzec. Przed Sierpniem też się przecież pisało o państwie i na ogół wszyscy myśleli wówczas o ekipie Gierka. Otóż to, że tak się myśli, było również winą ludzi sprawujących władzę, którzy nie zawsze mają wyraźną świadomość, że nie są tożsami z państwem.

I druga sprawa — rola inteligencji i sprawa jej podwójnej duszy. Otóż inteligencja polska jest dziś tą warstwą społeczeństwa, która tradycyjnie, w polskich warunkach historycznych, jest szczególnie uwrażliwiona na wszelkie imponderabilia narodowe, moralne, etyczne. Związane jest to m. in. z

J. GIEROWSKI: Jeżeli wystąpienie Koźniewskiego spotkało się z zastrzeżeniami, to wynikać one nie tylko z owych obustronnych pretensji, o których wspomina pan Stepien, ale, nazywając rzecz po imieniu, wystąpienie to zostało przyjęte jako pewna próba zrzućenia odpowiedzialności za to, co się stało, na inteligencję twórczą. Nie mam zamiaru twierdzić, że takiej odpowiedzialności zupełnie nie było. Ale przepraszam bardzo, jest to odpowiedzialność podzielona i rozmaite warstwy i grupy mają w tym swój udział. I jeśli ktoś robi rachunek sumienia, to niech tego nie czyni kosztem jednej warstwy. Oto dlaczego pamflet Koźniewskiego został źle odebrany.

M. STEPIEN: My w kraju musimy nasze dyskusje i przemyslenia narodowe prowadzić w różnych planach i grupach, w różnych środowiskach. Poza polem widzenia nie może zostać partia, klasa robotnicza, chłopstwo, władza. Analizując to co się stało w ciągu minionych 16 czy 18 miesięcy, w żadnym wypadku nie możemy się ograniczać wyłącznie do omawiania roli inteligencji. Jest to wadliwe postawienie sprawy, naruszające wszelkie proporcje i zamazujące rzeczywiste mechanizmy rządzące naszym społeczeństwem.

J. GIEROWSKI: Jest to nie tylko wadliwe postawienie sprawy ale jest to wręcz szkodliwe dla społeczeństwa!

M. STEPIEN: Nie jest przypadkowe, że inteligencja najszybciej, najwyżej skłonna jest do analizy swojej sytuacji i kraj. Nie jest bowiem przypadkowe, o czym wspominał prof. Buszko, że inteligencja w naszym kraju zajmuje miejsce szczególne. że istnieje mit o jej powołaniu i wyjątkowej roli — czego nie ma na Zachodzie — i pewnym odbiciem tego rodzaju przeświadczeń jest z kolei szczególne uwrażliwienie na jej zachowanie się i szczególna skłonność do przypisywania jej win. Wystarczy bowiem, że się coś nie powiedzie, to zaraz inteligencja jest winna.

K. AUGUSTYNEK: Chciałbym nawiązać do pamiętnej dyskusji o genealogii inteligencji polskiej, wywołanej wokół znanej książki Józefa Chałasińskiego. Wówczas, jak i później

wówczas na społeczeństwo ludzi skarlanych, zadowolających się jedynie wąskimi racjami.

M. STEPIEN: Wzorem będą wówczas dla nas jedynie realności spod znaku Wielopolskiego.

J. GIEROWSKI: Otóż to! Z drugiej zaś strony w tejsze duszy inteligenta polskiego, w tym samym człowieku tkwi pragmatyk, a więc człowiek spod znaku idei, które dawniej określało się mianem pracy organizacyjnej. Typowym przykładem jest tu mój wielki poprzednik na katedrze, Przecież Józef Szulski zaczął od Powstania Styczniowego, po czym stał się wielką postacią wśród stańczyków. Mnie się zdaje, że myślny się nie wydobył z XIX w., że wydarzenia XX w. utwierdziły, podtrzymały w nas tego typu postawy. Tzn. w każdym z nas tkwi jak gdyby dwu ludzi i w pewnym momencie zwycięża w nas człowiek bardziej nastawiony pragmatycznie. A potem widzi, po iluś tam latach naszego wysiłku, że wszystko raptem się wali, że okazuje się, iż cała gospodarka, i cały system nagle zachwiał się. Bóg zresztą raczy wiedzieć, dlaczego, bo przecież wszyscy pracowaliśmy uczciwie. I ja się nie dziwię, że w tej sytuacji wśród inteligencji nagle zaczyna zwyciężać ten drugi, bardziej romantyczny sposób podejścia do życia, to znaczy tworzenia sobie pewnych wizji tego, jak wszystko powinno wyglądać, aby wreszcie było dobrze, aby w końcu można było przystąpić do realizacji naszego największego celu, którym jest kontynuacja spokojnego bytu narodowego w ramach własnego, niezależnego państwa.

choć jest to rzecz sama przez się zrozumiała, my natomiast rozwijaliśmy się w tej części Europy, gdzie istniały państwa federalne, a więc rozmaite społeczności narodowe, które nie zawsze posiadały własny aparat państwowy, wskutek czego u nas istnieje jakby niedocenianie własnego państwa. Uważamy często, że naród może się rozwijać nie posiadając własnego państwa, bo taka w tej części świata jest wielowiekowa tradycja. Takie poglądy są oczywiście absolutnie niedopuszczalne w XX w. W 1918 r. odzyskaliśmy niepodległość, w Europie powstały organizmy państwowe plus minusz pokrywające się z organizmami narodowymi i teraz naruszenie, czy choćby tylko osłabienie państwowości musi się odbić na możliwościach rozwoju narodowego. W naszych warunkach, kiedy to mamy komplikacje związane z II wojną światową, kiedy nastąpiła zmiana kształtu państwa, wydaje się, że właśnie to poczucie silnego związku, koniecznego spiecia narodu z państwem jest stosunkowo słabo odczuwane i wobec tego nie raz uważa się, że sprawa narodu jest ważniejsza, że przetrsta sprawa państwa, które w tej sytuacji traktuje się jako coś drugorzędne. Dla mnie jest to błąd zasadniczy. Osobiście jestem wychowany w kucle państwowości polskiej i wśród ludzi mojego pokolenia uchował się głęboki szacunek dla roli państwa, zrozumienie dla ofiar i wyrzeczeń z rozmaitych naszych uprawnień, byle by państwo w całości i zasadniczym swoim kształcie mogło funkcjonować. Możemy mieć także czy inne, wątpliwości o do systemu państwowego — ale to państwo istnieje i to jest dla

tych, że przecież intelektualści — przynajmniej na ogół — nie kradli, uczciwie pracowali. Nie dziwi więc duże uwrażliwienie tej warstwy na wszystkie nieprawości, które miały miejsce. Nie chcę pójść za daleko, aby nie wychodzić poza temat dyskusji, ale jest faktem, że społeczeństwo polskie poniosło i ponosi określone koszty, także w sferze moralnej, wynikające z faktu przeobrażenia społecznego po 1945 r. Nastąpiły przecież burzliwe awanse klas poprzednio uciskanych i wielkim sukcesem jest, że one się wybiły, doszły do oświaty, kultury i sprawowania władzy, ale przecież tym procesom towarzyszyły pewne koszty. M. in. i te, które niedawno, przed Sierpniem poniesiliśmy.

Jeśli zaś chodzi o pretensje robotników do inteligencji, o czym wspominał sekretarz Augustynek, to chciałbym, aby w naszej dyskusji padły również i takie sformułowania. Otóż klasa robotnicza dzisiaj ma pewne uzasadnienie swoich pretensji w stosunku do zachowania się inteligencji. Przed Sierpniem działała grupa ekspertów, inteligentów, która doradzała ekipie Gierka — i wiadomo, co się okazało. Po Sierpniu była grupa inteligentów, ekspertów, która doradzała „Solidarności” i oto proszę, do czego doszliśmy. Jest to taka niby prawda, jednostronna jednak i powierzchowna, ale jednocześnie nie fair wykorzystywana w życiu politycznym. Kiedy czytamy listy do redakcji robotników i chłopów, w których tego typu antyinteligencję tony się pojawiają, to ja reaguję odruchem dezaprobaty dla redakcji, która nie

(CIAŁ DALSZY NA STR. 4)

O ROLI I POSTAWACH INTELEGENCJI POLSKIEJ PO SIERPNIU

(CIAŁ DALSZY ZE STR. 3)

wprowadza odpowiednich w tym zakresie uściśleń. Są przecież z całą pewnością siły w Polsce, które są zainteresowane skłóceniem inteligencji z robotnikami i chłopami. Przeciwdziałanie — takie ułatwia rozgrywanie pewnych spraw i nasze doświadczenia jak gdyby dostarczyły nowych argumentów tym siłom. I to jest bardzo niebezpieczne. Tutaj wszystkie od tego powołane instytucje, propaganda, prasa, telewizja i wystąpienia przedstawicieli rządu muszą być niesłychanie precyzyjne, żeby nie pozwolić na to, by fragmentaryczne doświadczenia były wadliwie uogólniane. Są bowiem ludzie, którzy coś tam chcą uzyskać poprzez skłócenie społeczeństwa. Jest to bardzo groźne, bo przecież wiemy z historii najnowszej, jakie złośliwości były skutki, gdy udawało się w Polsce skłócić robotników i inteligencję.

K. AUGUSTYNEK: Towarzysz Stepien poruszył problem, któremu należy bliżej się przypatrzeć. Otóż wśród inteligencji istnieją pewne odmienności o sposobie myślenia i wartościowania przez klasę robotniczą, które nie zawsze sprawdzają się w życiu. I bywa też odwrotnie. Czyli teraz, aby przeciwdziałać tego typu różnicowaniu, niezależnie od tego, czy one leżą w czymś politycznym interesie czy nie, musi istnieć jakiś realny rodzaj wzajemnego kontaktu. Inteligencja musi mieć możliwość żywego dialogu z robotnikami, chociażby w płaszczyźnie pracy organizacyjnej partyjnych czy społecznych. W partii mamy taki termin, do którego niektórzy z naszych towarzyszy podchodzą ostrożnie — porozumienia poziome. Dla mnie obowiązkowe jest, czy to porozumienie będzie się odbywało w pionie czy w poziomie, najważniejsze jest bowiem, by się odbywało.

Natomiast jeśli idzie o inteligencję i jej ocenę, to wciąż jeszcze popada się w błęd, myśląc o niej jako o całości, a tymczasem bieg wydarzeń już w II poł. XIX w. bardzo nam inteligencję zróżnicował. Przedstawiciele inteligencji poszli przeciwko wódcas do różnych, nieraz przeciwnych sobie ugrupowań i partii politycznych, stąd w konsekwencji inteligencja w różnicowaniu sposobu zaczęła artykułować swoje zadania i cele społeczne, polityczne, narodowe. Z tym także i dziś trzeba się nam liczyć jako z czymś realnie istniejącym.

J. BUSZKO: Dziś trudno mówić o jakimś arcykapitałstwie inteligencji, o roli inteligencji, którą poczuła robotnika. Dziś robotnik, to człowiek wykształcony. Większość przedstawicieli społeczeństwa posiada przecież wykształcenie średnie, czyli według kryteriów przedwojennych przynależą do inteligencji, bowiem wówczas pasowaniem na inteligenta była matura. A zatem dziś pojęcie nauczyciela i ucznia, w sensie dawania nauk społecznych czy politycznych, jest inne i odbywa się na zasadach partnerstwa, rozmowy przyjacielskiej, koleżeńkiej, w formie wymiany doświadczeń i uwag na temat naszej współczesności i perspektyw narodu. Jest to zatem zupełnie inna płaszczyzna porozumienia. I ten fakt inteligencja musi sobie uświadomić, gdyż, zwłaszcza przedstawiciele starszej generacji, nie do końca to rozumieją.

K. AUGUSTYNEK: Od kilkunastu lat zajmuję się z racji swojego zawodu problemami kształcenia historycznego, czyli dydaktyki historii. Formowanie świadomości społecznej w społeczeństwie polskim co najmniej od połowy XVIII w. odbywało się w skali upowszechnionej przy znaczącym udziale nauczania historii. W okresie powojennym w systemie oświaty popełniono, oprócz wielu innych, jeden istotny błąd. Otóż ogromna ilość młodzieży, zdobywająca wiedzę w szkołach zawodowych, pozbawiono nauki historii. Od niedawna już tak nie jest, ale straty poniesiliśmy wręcz trudne do odrobienia. Sądzę, że pewna określona część skutków świadomościowych, mimo wielu niedostatków kształcenia historycznego ma również swoje korzenie w brakach edukacji historycznej, w brakach myślenia kategoriami sądów i ocen historycznych.

J. GIEROWSKI: Zgadza się, że całkowicie z panem, trudno bowiem sobie wyobrazić, żeby na przykład historia nam się urywała przed trzydziestu pięciu laty. Powinna być doprowadzona do najbliższych czasów. Wiąże się z tym oczywiście sprawa badań nad historią najnowszą, a tych badań na dobrą sprawę prawie nie ma. Z kolei pro-

gram historii najnowszej musi być realizowany jak każdy inny okres, bez niepotrzebnej apologii, wywołującej w uczniu natchniony sprzeciw. Co innego się wówczas uczymy, a co innego myślimy. To jest niesłychanie istotny moment.

Jeśli zaś już jestem przy głosie, to chciałbym też podzielić się pewną szerszą refleksją o naszym inteligentkim środowisku krakowskim. Jesteśmy w gruncie rzeczy w dość specyficznym środowisku, różnym od ogólnopolskiego. Jeśli dobrze to widzę, to wydaje mi się, że jest u nas większa tolerancja, łatwiejsza możliwość rozmawiania. Już sam przecież fakt, że jesteśmy tutaj i w tym ze społeczeństwem, jest przykładem tych korzystnych stosunków, które się w Krakowie wytworzyły. W moim przekonaniu, właśnie w krakowskim środowisku byliśmy najbliżsi pojednaniu i dialogowi, dlatego też chyba u nas największym zaskoczeniem było to, co się stało 13 grudnia. Tu chyba szliśmy jakby w jednym kierunku i obecnie chodziliśmy, to, aby tego kapitału, ze względu na przyszłość, nie stracić.

M. STEPIEN: Krakowskie tradycje tolerancji, które pan rektor słusznie wyeksponował, mają swoje korzenie grubo sprzed Sierpnia.

A. GIEROWSKI: Oczywiście, jest to efekt pewnych, powiedzmy sobie szczerze, pozostałości galicyjskich. W dobrym, korzystnym znaczeniu tego słowa.

J. BUSZKO: W moim pojęciu właśnie element tolerancji i brak tego, co można by określić ekstremizmem, trzeba określić jako naszą dojrzałość polityczną. Od lat jest ona w Krakowie jakby większa. Na poparcie swojej tezy mogę przytoczyć takie fakty, jak to, że np. od 1905 r. Kraków zawsze dawał swoje głosy na lewicę. Po odzyskaniu niepodległości nie w Krakowie, a w Warszawie endecja królowała na ulicach, tam też najbardziej gnębiono Narutowicza. U nas zaś były największe w okresie międzywojennym strajki robotnicze. Niech więc nam w Warszawie, uważającej się za sół ziemi, nie wmawiają jakiejś konserwy galicyjskiej, bo to czyste nieporozumienie. W PRL także nie u nas były Czerwce, Marce, Grudnie i Sierpnie. Tu ludzie zachowywali zawsze wobec wydarzeń pewien dystans, pewien umiar. Po prostu dalecy jesteśmy w Krakowie od atmosfery polowań na czarownice.

K. STRZELEWICZ: Ponieważ przy miłych naszym sercom krakowskich tematach zabrnęliśmy trochę w opłotki, pozwól sobie przywołać główny temat naszego spotkania, którym jest rozmowa o roli i postawach inteligencji polskiej po Sierpniu, zwłaszcza w kontekście ocen Rakowskiego i Koźmiewskiego, stanowiących dogodny punkt wyjścia do dyskusji. Na te tego, o czym mówili tu już w sposób mniej lub bardziej pośredni wszyscy, a najwięcej chyba pan rektor Gierowski, spróbujmy postawić kropkę nad „i”, spróbujmy odpowiedzieć sobie na pytanie, które jednocześnie byłoby i konkluzją naszego spotkania: czy istotnie inteligencja jest winna temu, co się u nas stało? Czy rzeczywista polska inteligencja ponosi odpowiedzialność za rozszalałe na lewicy i prawicy ekstremizmy, za przewagę romantycznego uczucia nad rozumem? Czy inteligent wpadł w amok destrukcji i demontażu struktur państwowych? Czy w konsekwencji można zatem obarczać odpowiedzialnością inteligenta polskiego za podgrzewanie nastrojów, za to, że w Gdańsku nierozważni aktorzy szli z poczętą romantyzmą do robotników stoczniowych, a w Katowicach studenci szkoły filmowej kosztami 8 mln zł wyasygnowanych przez „Solidarność” zmontowali gigantyczną „Tragedię romantyczną”, podsycającą irracjonalne nastroje społeczeństwa. Osobiście daleki jestem od twierdzenia, że literacka „Tragedia romantyczna” skończyła się ludzką tragedią w kopalni „Wujek”, niemniej czego jak czego, ale rozsądek, rozsądek, prawdziwe troski o kraj w działaniach inteligencji z całą pewnością było wówczas za mało. Przede wszystkim, niczym u niedoświadczonych kierowcy, nie starczyło wyobraźni, czym taka szybka, upajająca jazda może się skończyć, czym się musiała skończyć.

J. BUSZKO: Winę za to, co się stało, ja rozłożyłbym sprawiedliwie, obciążając — problem, w jakim stopniu — poszczególne warstwy i środowiska społeczne w Polsce. Ja, powiem otwarcie, widziałem rozszalałych inteligentów, zwłaszcza tych młodych, ale widziałem też i nie mniej, a może i bardziej rozszalałych robotników. Kwestie postaw in-

dywidualnych były bardzo różnorodne. A zatem obciążenie winą jednej warstwy uważam za rzecz co najmniej ryzykowną. Mówi się dziś, że masy były manipulowane, ale zapominając, że te masy są wykształcone i tak łatwo nie dadzą sobą powodować. Wśród inteligencji dało się również dostrzec zróżnicowanie postaw. Jak w każdym kryzysie u nas, tak i w posierpniowym, jedni dążyli tylko do naprawy Rzeczypospolitej, inni zaś szli dalej, w kierunku ekstremalnym i wcale nie twierdząc, że nie było wśród nich grup o nastawieniu antysocjalistycznym. Sądzę jednak, że inteligentów spod znaku pierwszej orientacji było znacznie więcej, mówię to jednak na podstawie doświadczeń krakowskich, co wcale nie wyklucza, że gdańska inteligencja, być może, poszła znacznie dalej. Jako historyk wolabym jednak osadzić wydatki na podstawie dokumentów i badań, a nie na podstawie impresji czy przypuszczeń.

M. STEPIEN: Mnie się jednak wydaje, że podczas posierpniowych wydarzeń, zwłaszcza w drugiej ich fazie, mieliśmy niestety w Polsce zjawisko zbiorowej psychozy. Człwieki pewnie zbiorowe nastroje, kiedy to ludzie kierowali się emocjami, irracjonalnymi pobudkami i niekontrolowanymi przez rozum odruchami. Tak było.



J. BUSZKO: Na pewno.

M. STEPIEN: Te nastroje obejmowały znaczną część naszego społeczeństwa. Nie kwestionując zasadności twierdzenia, że nie tylko inteligencja ponosi odpowiedzialność za to, co się stało, pragnę zwrócić uwagę, że zebrał się tu po to, aby mówić o inteligencji, a nie o robotnikach czy chłopach. I trzeba sobie tu pewne prawdy powiedzieć, chociaż są one gorzkie. Otóż jeżeli się od kogośkolwiek wymaga, żeby psychologicznie zbiorowej nie ulegał, to przede wszystkim od ludzi, którzy niejako profesjonalnie reprezentują rację umysłu, nauki, rozumu. W rozmowie my tu trochę omijamy szereg gorzkich spraw, trzeba jednak sobie powiedzieć, że w drugiej, ostatniej fazie owych 16 miesięcy osobiste byłem bardzo zdziwiony postawą wybitnych ludzi ze świata intelektualnego, nieraz wprost szarżujących, jakby zupełnie nie rozumiejących nieuniknionego kierunku wydarzeń. I działaniem swoim dolewali oliwy do ognia. Jak gdyby nie rozumieli tego, co robili, a przecież rozumieć powinni, bo to stało się dla wielu bardzo wyraźne. Aż do ostatniego etapu rozwoju wypadków, aż do Kongresu Kultury w Warszawie. To, co tam się działo, dziwiło mnie ogromnie. Dziwiło mnie przede wszystkim to, że ludzie niewątpliwie bardzo inteligentni w swojej dziedzinie, wadzący się w problematykę polityczną...

K. STRZELEWICZ: ...okazali się dziećmi.

M. STEPIEN: ...okazali się bardzo mało przewidujący, po prostu jacyś tacy jakby nierozumni...

J. BUSZKO: ...zagubieni, nieporadni.

M. STEPIEN: I to zjawisko miało miejsce. Dlatego negatywna ocena roli inteligencji w pewnych jej zachowaniach jest usprawiedliwiona. To oczywiście nie zwalnia od odpo-

wiedzialności wszystkich innych kręgów społecznych. Owa naiwność polityczna, uleganie irracjonalnym odruchom doprowadziło do czegoś znacznie gorszego, niebezpieczniejszego, do budzenia w społeczeństwie iluzji i nastrojów insurekcyjnych, podsyconych przez koła KOR i KPN, które cynicznie ślały zarzut w umysłach młodzieży wrażliwej na patriotyczne ideały.

K. STRZELEWICZ: Od pewnego momentu środowisko to wręcz źle zaczęło kalkulować, źle odczytywać znak czasu. Dla wielu inteligentów, a w tym to w własnych obserwacjach, taki moment, jak dzień 13 grudnia, był po prostu nie do wyobrażenia, nie wiadomo właściwie, z jakich powodów.

J. BUSZKO: Ja bym teraz, po tym co się stało, posunął się jeszcze dalej, ja bym powiedział, że siły skrajne, rozważanie które nastąpiło, widzą zdecydowanie niechętnie. Zależałoby im teraz na umiędzynarodowieniu konfliktu w Polsce, gdyż takie rozwiązanie umożliwiałoby im wydobycie się na powierzchnię.

M. STEPIEN: Ciekawe przy tym, że siły, które chcą umiędzynarodowienia sprawy polskiej, mają swojego sojusznika w Stanach Zjednoczonych.

Cyprian Norwid

(Paryż, jesień 1862)

(...) mam przekonanie, że nie piękniejszego nie ma nad to, kiedy jeden człowiek wyrzuca cały choćby świat do walki.

Może — to tylko ludzie, może ci tylko coś zrobił.

Stary Sokrates wyciągający rękę do Nieba przeciw całemu światu — bo Ateny to był cały świat.

Krzysztof Kolumb lat osiem kolorujący mapy, po kilka groszy na dzień platyni i ledwo że wyżyć mogący syna swego, który młdał z głodu — a jednak całemu światu ten jeden człowiek pokazujący palcem nagim drogę wymianą i nie znaną...

Już ci tylko ci coś zrobili i są mężowie. Już ci cała Golgota tajemnicza — to tylko to... Ale — ale —

Na to potrzeba, żeby to nie była tylko jedna jaka facuła człowieka — jedna jego myśl — uczucie jedno — władza jedna — organ jeden — wyrażenie się jedno — idea fixe jedna... tylko na to trzeba, żeby to był cały — człowiek — od stóp do głów — cały!

Od swych włosów Sokratesa aż do kajdan na sędziwych nogach jego — od wytartego aksamitu czapki Kolumba aż do wątpliwego jego obuwia.

Wtedy — dobrze — wtedy niech się takowy pojedynek choćby z całym globem zagał — Człowiek jeden zwycięży i wygra.

Wygra często po walkach, ale wygra!...

Dzień 2 lutego nie każdemu kojarzy się z setną rocznicą urodzin jednego z największych pisarzy naszego stulecia — Jamesa Joyce'a.

W 1923 roku witając nowo wydanego „Uliśesa” angielski poeta i krytyk T. S. Eliot pisał: „Uważam ten książkę za najdonioślejszy wyraz współczesnego wieku, wszyscy jesteśmy jej dłużni, nikt z nas nie zdoła przed nią uciec...” (James Joyce zabił i porzucił wiek XIX).

BYŁ IRLANDCZYKIEM

...rodziny Dublin i jego mieszkańcy stali się na długo obsejnym tematem jego utworów, choć z zielonej wyspy wymigrował mając zaledwie 22 lata.

Pochodził z niezbyt mającej rodziny, uboższej z roku na rok poprzez pija-



Najbardziej znanym z osiągnięć pisarza jest tzw. monolog wewnętrzny. Polega on na bezpośrednim rejestrowaniu pracy mózgu ludzkiego podczas procesu tworzenia się w nim myśli i wrażeń, które pisarz przenosi na papier w stanie nie skorygowanym.

Przeważająca część „Uliśesa” napisana jest albo techniką strumienia świadomości, albo jako dramat oglądany z zewnątrz. Na uwagę zasługuje także sposób przedstawiania narracji, wreszcie sam język.

W ostatniej powieści „Finnegans Wake” Joyce ucieka od rzeczywistości. Utwór jest więc rejestrem zdarzeń i snów jednej nocy. Pisarz nie układa tu swych obserwacji w większe okresy i rozdziały, lecz zamyka je tylko w słowach, czasem zdaniach.

IRLANDCZYK KTÓRY ZABIŁ WIEK XIX

Jest to próba ukazania obok strumienia świadomości także strumienia podświadomości. Polega ona na gigantycznej igrazce słownej, wydobyciu z każdego zdania, zwrotu, czy nawet wyrazu wielu znaczeń równocześnie. Większość wyrazów jest przy tym odkształconych.

Z NIECIERPLIWOŚCIĄ CZEKAMY W POLSCE

na przykład tej książki, nad którą pracuje wspomniany już znakomity krakowski tłumacz Joyce’a Maciej Słomczyński.

„Uliśes” rozbił zastany świat na elementy martwe, a w „Finnegans Wake” autor podejmuje próbę zbudowania dzieła konstruktywistycznego poprzez owe elementy. Czytelnik musi więc nieustannie dokonywać równoczesnego wysiłku intelektualnego i emocjonalnego — aby zrozumieć. Lektura tekstu dostarcza więc radości, jeśli uda się położyć cokolwiek na trudniejszą fragmenty w pewną zamkniętą całość. Równocześnie nie przeszkadza to, by wybrany kawałek tekstu, wydawał się później zupełnie czymś innym. Słowem — za każdym razem czytelnik czyta coś innego, choć litera stoi nieruchomo na stronicach.

James Joyce otwiera nowe, nieoczekiwane perspektywy, które dla wieku XX stały się nieomal koniecznością. Twórczość Joyce’a nie poprzestaje na to, co by ją zwiastowało. Jest obca wszystkiemu co było przed nią. Jest przerażająca konsekwentna w zamiarze oskłamiania i pogrzebania wszystkich książek, które przed Joyce’em napisano, dlatego wśród pisarzy zajmuje szczególne miejsce.

Zdzisława Otałoga

Cyprian Norwid

(Paryż, 14 listopada 1862)

(...) Oto jest społeczność polska! — społeczność narodu, który, nie zaprzeczam, iż o tyle jako patriotyzm wielki jest, o ile jako społeczeństwo jest żaden.

Wszystko, co patriotyzmu i historycznego dotyczy uczucia, tak wielkie i wielmożne jest w narodzie tym, iż zaiste że kapelusze zdejmam przed ulicznikiem warszawskim — ale — ale wszystko to, czego nie od patriotyzmu, czego nie od narodowego, ale czego od społecznego uczucia wymaga się, to jest tak początkujące, małe i prawie nikczemne, że strach wspominać o tym! (...)

Jesteśmy żadnym społeczeństwem.

Jesteśmy wielkim standardem narodowym.

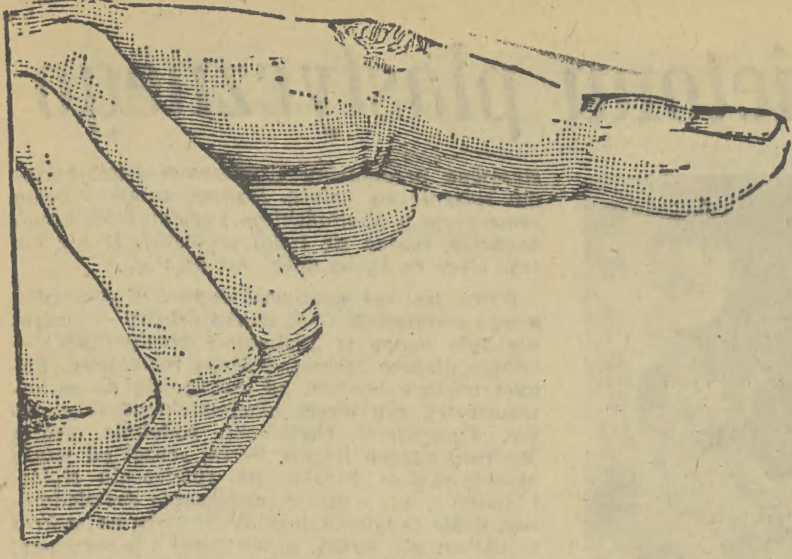
Może powiesz mi kiedyś ludzie serdeczni za te prawdy, których istotę powtarzam lat około dwadzieścia, ale gdybym miał dziś na szyi powór, to jeszcze gardłem przywartym chrzypiałbym, że Polska jest ostatnie na globie społeczeństwo, a pierwszy na planecie naród.

Kto zaś jedną nogę ma długą jak oś globowa, a drugiej nogi wcale nie ma, ten — o! — jakże ulomny kaleka jest!

Gdyby Ojczyzna nasza była tak dzielnym społeczeństwem we wszystkich człowieka obowiązkach, jak znakomitym jest narodem we wszystkich Polaka pocuciach, tedy byłibyśmy na nogach dwóch, osoby całe i poważne — monumentalnie znamienite. Ale tak, jak dziś jest, to Polak jest olbrzym, a człowiek w Polaku jest karzeł — i jesteśmy karykaturą, i jesteśmy tragiczną nicą i śmiech olbrzymi... Słońce nad Polakiem wstawa, ale zastania swe oczy nad człowiekiem...

27 dzień (stycznia) 1864 rok

Cheesz wiedzieć, dlaczego nie logicznego nie ma i być nie może? Dlatego, że na całym globie ni-



Nigdy go nie widziałem. Zupełnie nie znalazłem jego życia osobistego ani charakteru. Ale jego prace wystarczyły, aby wzbudzić mój podziw. Wierny czytelnik „Pocztę Pneumatyczną” z Gabaule-les-Ponts” z niecierpliwością oczekiwałem sobotniego numeru, gdzie na pierwszej stronie anonosowano jego artykuł w słowach lakonicznych i triumfujących: „Dzisiaj — Adrian Laquelle”. I wszyscy mieszkańcy Gabaule-les-Ponts o stałe porze podzielił mój niepokój.

Początki kariery pana Laquelle były mało ciekawe. Trudno się nie uśmiechnąć na myśl, że ten człowiek, którego pozycja wydaje się nam obecnie niepodważalna, tak długo ograniczał swą działalność do publikowania w prowincjonalnej gazecie statystyki zgonów ludności departamentu z ubiegłego tygodnia. Zachowałem dla ciekawości kilka starych numerów „Pocztę Pneumatyczną”, gdzie wciśnięte między ogłoszenia reklamowe kin i sklepów kolonialnych, wstydliwie pojawiały się pierwsze wykazy śmiertelności podpisane Adrian Laquelle.

Tabele te, przyozdobione klamrami i gwiazdkami, rozciągały się w wielu poziomach. Rodzaj zgonów był włączony do kolumny z lewej: wypadki, samobójstwa, zabójstwa, starość, choroby, różne. Sąsiednie kolumny zawierały: liczbę zgonów według pici (a. mężczyźni, b. kobiety), według okręgu, według narodowości.

Pewnego dnia pan Laquelle wpadł na pomysł, aby do tego zbyt suchego wykazu dołączyć kolumnę przewidywań na tydzień następny. Jednakże uwaga u dołu informowała, że te ostatnie wiadomości „należy przyjmować z pewną rezerwą”.

Czytelnicy pasjonowali się tymi cotygodniowymi prorocztwami. Robiono zakłady. Próbowano

- E - R - R - A - T - U - M -

przypaść go na omyłkę. Ale pan Laquelle nie myślał się nigdy. Jego przepowiednie zgadzały się co do trupa z oficjalnymi statystykami. Jak gdyby na początku każdego tygodnia składał losowi bezwarunkowo zamówienie. Wkrótce zanichał nawet sygnalizowanie czytelnikom, że nie bierze odpowiedzialności za te makabryczne zapowiedzi. Czytało się: „Moje prognozy — pierwszy tydzień kwietnia — stu trzydziestu pięciu zmarłych”. To wszystko.

Pamiętam ten sensacyjny numer, gdzie tygodniowy kontyngent nieboszczyków, którego suma oscylowała na ogół między stu piętnastą a sto pięćdziesiąt, osiągnął nagle dwieście jeden. Miasto ogarnęła panika! Ulice pustoszały po ósmej wieczorem. Matki ze zdwojoną troskliwością strzegły swych dzieci. Zarząd miejski wyznaczył służbę porządkową na skrzyżowaniach. A każdy ludził się, że zaszła pomyłka w obliczeniach lub w druku.

W istocie, w sobotę rano udoskonalone totalizatory „Pocztę Pneumatyczną” z Gabaule-les-Ponts” wskazywały liczbę tylko stu dwudziestu pięciu zgonów, czyli o siedemdziesiąt sześć mniej niż obliczył pan Laquelle. „Wiercie mi, nie zapomniała się podobnej luki w kilka godzin” — mówił pan Velours, szef biura garbarzy.

Otoż, tej samej soboty o 23.45 na stacji w Gabaule-les-Ponts wykołczył się ekspres... siedemdziesięciu sześciu zabitych!

Pan Laquelle stał się miejscową sławą. Podziwiano i obawiano się go zarazem. Niejasny instynkt samozachowawczy popychał mieszkańców miasteczka do szukania u niego specjalnych względów. Gdy, namawiany przez gazety paryskie i towarzysztwa ubezpieczeniowe, pan Laquelle odpowiadał, że nie opuściłby dziennika, w którym debutował, to był szal. Zorganizowano na jego cześć ogromny bankiet, na który został zaproszony. I tego dnia wreszcie go ujrzeliśmy.

Pan Laquelle był niskim mężczyzną, skurczonym i bladym, o pewnych ruchach. Jego twarz, sucha jak masa, świadczyła o długich godzinach obliczeń w blasku lampy. Jego ciemne oczy przenikły człowieka. Miał inteligentne zmarszczki. A jego nos — długi, biały — zatrzymywał się w samej porze na wąsach cienkich i wyraźnych jak kreska ulamkowa. Z całej jego osoby emanował powściągliwość, lekko oficjalny czar, któremu uległem, jak inni. Na skierowaną do niego mowę odpowiedział najprościej w świecie, chwytając się za autorytety naukowe, których nazwiska nie nam nie mówić:

— Nie ma żadnego wróżenia w moim przypadku. Stosuję reguły. Dedukuję. Kłokolwiek na moim miejscu...

Czy mówiono mu o moim entuzjastycznym dla jego dzieła? Czy zauważył wrażenie pełnego szacunku zainteresowania, z jakim przyjmowałem najmniejszą jego wypowiedź? Nie wiem. W każdym razie zbliżył się do mnie i położył mi rękę na ramieniu.

— Wygląda pan na poważnego człowieka! — powiedział.

— Próbuje nim być — wyjąkałem.

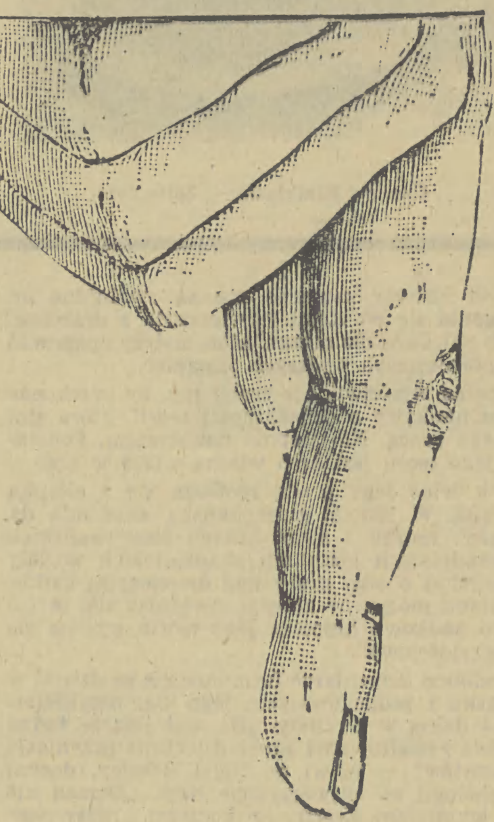
— Z pewnością pasjonuje się pan statystyką. To wielka nauka. Dzięki Bogu przekroczyła już pierwotne stadium empiryzmu. Ona już nie rejestruje, ona przewiduje. Tak, właśnie pisze traktat dotyczący statystyki przewidującej. Opowieć panu o nim więcej, jeśli ten temat nie nudzi pana zbyt. Czy zechciałby pan wstąpić do mnie któregoś wieczoru między osiemnastą trzydziestą a dwudziestą?

— Ależ mistrzu, pan mnie prawie nie zna!

— Ja pana wyczuwam.

Radość, duma, wdzięczność nie pozwoliły mi podziękować mu jak należało. Umówiliśmy się na drugi dzień.

Pan Laquelle zamieszkiwał skromną kawalerkę na jednej z najmniej uczęszczanych ulic naszego miasteczka. Przyjął mnie w swoim biurze zawałonym książkami i papierzykami. Ściany były pokryte grafikami wykonanymi tuszem. Krzywe śmiertelności wlatywały poprzez kratki cyfr i nazwisk. Sinusoidy przyrostu naturalnego wzrastały na barwnych filarach lat wraz z pel-



zającymi falistościami. Zygzaki ślubów oscylowały jak linie temperatury między dwiema równoległymi. A w głębi stała czarna tablica poznawcza pręgami dodawania, odejmowania, mnożenia, dzielenia i równań wielostopniowych.

— A więc jest pan w laboratorium! — rzekł pan Laquelle, wyciągając do mnie przyprószoną kredą rękę.

Zazdrościłem mu, że żyje pośród tych wzruszających symboli ludzkiego przeznaczenia. Na jakikolwiek kąt izby nie skierował się mój wzrok, dostęgał on pomnika anonimowych katastrof i szczęścia, starannie poetykietowanych. Ślizgając się śladami marzenia, mój umysł przywoływał już poszczególne zgony, które wyznaczyły bieg atramentowego ciągu, dalekie epidemie, które poszerzyły powierzchnię tego złotego kwadratu...

— Proszę siadać, drogi przyjacielu! — powiedział pan Laquelle. — Zaraz przygotuję filiżankę herbaty.

Nie pamiętam już, o czym mówiliśmy w czasie tej wizyty. Ale widzę go jeszcze, ubranego w brunatny szlafrok z szerokimi rękawami, wskazującego palcem przypięte do ściany wykresy:

— Wszystko tam jest. Wszystko się sprowadza do tego. Zwiniały japoński kwiat, któremu trzeba rozwijać, jeden po drugim, płatki.

— Nie boi się pan naśladowców?

— Jeśli ograniczają się do kopiowania mnie, to są godni pogardy i ja ich ignoruję. Jeżeli wnoszą się ponad moje prace, mogą tylko być im wdzięczni.

*

Po jakimś czasie „List Republikański” otworzył rubrykę statystyki przewidywań analogiczną do tej z „Pocztą Pneumatyczną”. Tabele były podpisane: Fortiche. Spotykałem tego osobnika w „Cafe de la Poste et des Etats-Unis”, gdzie codziennie pijał aperitif i poobiedni, podwójny kieliszek wódki. Był to ociężały facet z twarzą czerwoną i kosmatą jak świeża bibuła i o oczach koloru soku z lukrecji. Ani jego wiedza, ani temperament nie predysponowały go do pełnienia tego zadania. Jednakże pojedynek Laquelle — Fortiche rozpałał opinię publiczną. Ludność Gabaule-les-Ponts podzieliła się na dwa obozy. Każdy mistrz miał oddanych kibiców. Na murach pojawiły się złośliwe napisy: „Laquelle jest głupi!” „Fortiche na szubienicę!”

Bardzo szybko Fortiche musiał się uznać za pokonanego. Przewidywania pana Laquelle zawsze się sprawdzały, podczas gdy jego cyfry niechybnie okazywały się mylne. Jego zwolennicy stali się podejrzliwi. Pewnego dnia, kiedy gasilem pragnienie w „Cafe de la Poste et des Etats-Unis”, usłyszałem, jak Fortiche wykrzykuje przed grupą dziennikarzy:

— Nic dziwnego, że trafia dokładnie w swoich przewidywaniach śmiertelności: on uzupełnia.

To okropne słowo zostało powtórzone. Z początku uznano, że to bzdura. Ale, niepostrzeżenie, spełniło ono swoją rolę i przyczyniło się do podkopania pozycji Laquelle'a. Nawet w wypowiedziach jego przyjaciół dostrzegłem skrepowanie, które mnie niepokoiło.

— Chyba pan nie powie, że wierzy pan w te oszustwa?

— Nie... nie... oczywiście... Jednakże przynajmniej, że to dziwne, iż przewidywania Laquelle'a są zawsze bezbłędne — dziwne i niepokojące... Gdyby pomylił się chociaż jeden jedyny raz! Ale ta niesłychana dokładność wzbudza podejrzenia... Z pewnością on nie działa sam: mówiono mi, że istnieje organizacja złoczyńców, które podejmuje się tego rodzaju prac, które uzupełniają, używając słów Fortiche'a!

Byłem przynębiony czując, jak powoli two-

Od 1 stycznia Wydawnictwo Literackie stało się samodzielnym i samofinansującym się przedsiębiorstwem. Jakże wynika z tego konsekwencje? Czy — czego obawiają się czytelnicy — argumenty finansowe przebiegają troskę o wysoki poziom książek spod znaku WL? Czy, przeciwnie, wreszcie zdrowe zasady ekonomiczne ograniczają będą nakłady książek, które się wydaje, a które potem zajmują tylko miejsce w składach i magazynach księgarń.

Redaktor naczelny Wydawnictwa Katarzyna KRZEMUSKA jest zdania, że nie ma powodów do obaw. Wydawnictwo nie chce obniżyć lotów. Nie będzie drukować kryminałów i świetnie sprzedającej się ale niskich lotów literatury. Wszystkie wydawane do tej pory serie pozostaną. Oczywiście, z zasady samofinansowania się wypływa ważna konsekwencja — nie będziemy mieli żadnych dotacji z Ministerstwa Kultury, które do tej pory dofinansowywało pożyte deficytowe. Musimy więc tak wywierać propagandę aby plan wydawnictwa obejmował książki rentowne i deficytowe. Książki rentowne muszą pracować na te, które z różnych powodów gorzej się sprzedają, a które chcemy drukować bo są ważne z punktu widzenia społecznego i kultu ralnego.

I tak przygotowywane w tej chwili w redakcji Polskiej Literatury Współczesnej powieści LEMA „WIZJA LOKALNA”, opowiadania MROZKA i KIJOWSKIEGO będą zarabiać na małe tomiki poetyckie i debiuty.

W tym roku program wydawniczy jest bardzo szeroki. Otrzymamy m. in. SZEKSPIRA w tłumaczeniu oczywiście MACIEJA SŁOMCZYŃSKIEGO, wybór dramatów ELIOTA, w wydaniach dwujęzycznych BŁOKA i OSSIPA MANDELSZTAMA, a także przygotowywaną z okazji 100-lecia urodzin J. JOYCE'a biografię pisarza i fragment dzieła JOYCE'a „FINNEGANS WAKE” — „ANNA LI-WIA”. Ukazę się zbiór opowiadań M. BULHAKOWA i dwie powieści TIBORA DERYEGO.

Zwolenników literatury pamiętnikarskiej i historycznej uciechy zapewne dwutomowe wydanie wspomnień żołnierzy polskich, uczestników kampanii napoleońskich „DAŁ NAM PRZYKŁAD BONAPARTE”, i wspomnienia JANUSZA MEISSNERA, lotnika i pisarza. Klasykę polską będą reprezentowały wydania zbiorowe dzieł STANISŁAWA BRZOWSKIEGO, KAROLA IRZYKOWSKIEGO, STANISŁAWA WYSPIANSKIEGO. Książka KAZIMIERZA WYKI „ŻYCIE NA NIBY” otworzy edycję dorobku pisarskiego wielkiego historyka i krytyka literatury. Będą też wznowienia m. in. „KARAFKI LA FONTAINE'A” M. WANKOWICZA, kilka naturalnie debiutów.

„Zamierzamy także w większym stopniu jak dotychczas zająć się literaturą dla dzieci i młodzieży — powiedziała Katarzyna Krzemuska. — Czytelnicy bardzo czekają na tę literaturę, można ją także wydawać w dużych nakładach. W ten sposób interes społeczny pójdzie w parze z interesami wydawnictwa”.

Zupełnie oddzielną sprawą są nowe ceny książek. Kilkakrotnie wzrosły ceny za usługi poligraficzne, papier, zapowiada się wzrost marży księgarskiej. Wydawnictwo będzie musiało się w nowej sytuacji sporo nabiedzić aby zapobiec zbyt wygórowanym cenom książek. Szefowie WL mają nadzieję, że za obietnicami o 25 proc. wzroście wydawnictw książkowych pójść dodatkowe dostawy papieru. Sądzą, że nie są w tym osamotnieni.

Obok drukujemy opowiadanie ze zbioru Henri Troyat „Diabelskie skrzydła” (tłumaczenie: Wiesławy Dworżańskiej) przygotowywanego obecnie w WL.

rzy się wokół mego przyjaciela niespokojna atmosfera obawy, nieufności i odrzuty, jak gdyby on był odpowiedzialny za te wszystkie zgony, które przepowiadał.

Pewnego wieczoru na skwerze Derouleda usłyszałem, jak matka łaje płaczącą córeczkę:

— Jeśli nie będziesz grzeczna, pan Laquelle umiesci cię na swojej liście!

Oto do czego prowadzi popularność! Wystarczyło dwa miesiące, aby najbardziej szanowany człowiek z Gabaule-les-Ponts stał się trędowatym, przed którym uciekano. Cała rodzina,

Pan Laquelle popatrzył w sufit, rozłożył ręce z gestem cichej rezygnacji, a z jego ust padły te straszliwe słowa:

— Ja nie mogę się pomylić!

— Co pan chce przez to powiedzieć? Jeśli, zamiast wylizywać liczbę zgonów na następny tydzień, wymyślił pan, rzucił pan cyfrę na chybił trafił...

— Przeznaczenie dostosuje się do tej cyfry! Spojrzałem na niego z osupieniem.

— Myśli pan, że nie próbowałem się pomy-

zajmująca mieszkanie obok niego, wyprowadziła się pospiesznie. Na drzwiach jego domu przeczytałem któregoś dnia takie słowo nakreślone kredą: „Morderca”!

Tego było za wiele! Złożyłem wizytę panu Laquelle. Zastałem go jak z wyrazem szczeniwej boleści sortował listy ze zniewagami.

— Oni nie wiedzą, co robią — powiedział.

— Wiedza czy nie, ta sytuacja nie może już dłużej trwać! Ważne jest, żeby uspokoić opinię publiczną, zrehabilitować pana, zmusić do milczenia pańskich przeciwników!

Wzruszył godnie ramionami:

— Nie widzę sposobu.

— To bardzo proste: wystarczy, żeby się pan raz pomylił w swoich prognozach. Czytelników niepokoi fakt, że jest pan tak dokładnie poinformowany. Pomyłka zwróciłaby panu prestiż.



Drugi raz zdarza mi się przeżywać w tej samej sali konfrontację spektakli dyplomatycznych absolwentów PWST, wystawianych na scenie przy ul. Warszawskiej, z przedstawieniami jakby przeniesionymi przez ich reżyserów na wielką scenę Teatru im. J. Słowackiego. Tyle, że w wykonaniu dojrzałych aktorów. I rzecz charakterystyczna, właśnie te dwie szkolne próbki sceniczne były niepowtarzalnymi widowiskami, urzekającymi autentyczną zabawą oraz artystycznymi smaczkami.

Mowa tu o Księgicznicy Turandot Gozkiego z lat 60. (w reż. niezapomnianego Władysława Krzemińskiego) i o komedii A. Fredry Wielki człowiek do małych interesów, zrealizowanej z inwencją przez Mieczysława Górkiewicza w r. 1975. Żeby nie przedłużać wspomnieniowych porównań, pragnę jedynie podzielić się refleksją, że tak jak Krzemińskiemu — z jego ogromnym wyczuciem reżyserskim! — nie udało się później utrzymać przepyszego stylu kabaretowego, atmosfery wspólnych igraszek z widownią, które wyparowały z wielkiej sceny na placu św. Ducha i powisłały w dostojne plusze foteli, tak i Górkiewiczowi umknął prawie cały arok Fredry, wspartego wówczas zgrabnie Witkaczką przewrotnością grotesku, parodią i pastiszu. Nic to, że w obu spektaklach Teatru im. J. Słowackiego wystąpili także i młodzi artyści. Ani Turandot nie zachowała poprzedniej, żywiołowej lekkości, ani Wielki człowiek do małych interesów nie powtórzył po 7 latach młodzieńczego tempa akcji i rubasznej tonacji komediowego stylu autora.

Ostatnia premiera Wielkiego człowieka do małych interesów w TEATRZE IM. J. SŁOWACKIEGO każe nam spojrzeć na ten utwór jako na „niekomediową komedię”. Reżyser Mieczysław Górkiewicz — który ongiś tak pomysłowo rozegrał te sztuki w pozamianianych planach widowni i sceny, z domieszką absurdałnego humoru oraz groteskowo pojętej, ponadczasowej instytucjonalności domorosłego biurokratyzmu (ale z Fredry, rodem, w kolorycie sarmacko-infantycznych narodzin i rozwoju kasty zadufków!) — uznał teraz, że owa komedia nie obejdzie się bez solidnego wsparcia tonami gemonicznymi. Wsparcia też udzielił mu artykuł programowy dyr. A. Kijowskiego, gdzie mowa m. in. o „systemie zniewolenia”. Co jest skądinąd słuszne, lecz nie na tyle, by odbierać przedstawieniu wielkość oryginalnych rysów prześmiewczych, nadanych przez Fredrę — zastępując je pseudo-współczesnym wrolem np. spod znaku najpowszejszej interpretacji Gogolowskiego Rewizora (zwłaszcza w partii finalnej, gdzie młody Leon zajmuje miejsce swego opiekuna, jak podczas inscenizacyjnego zabiegu J. Jarockiego — w obrazie rotacji stanowisk kolejnych biurokratów).

To prawda, że czasy się zmieniły, a odbiór komedii dziś dodaje widom i słuchaczom znaczeń zgola nie komediowych. Pamiętamy jednak, iż właśnie z a s spawia, że akcenty tekstu wzmocniają lub osłabiają pewne jego brzmienia w zgodzie z ogólnymi nastrojami, i to bez potrzeby uciekania się do zbyt nachalnych symboli czy aluzji, czysto inscenizacyjnych. Wielki człowiek do małych interesów — choć nie dorównuje najświetniejszemu komediom Fredry — jest przecież dostatecznie wyrazisty w ośmieszaniu małych satrapów „bez kwalifikacji” a jednocześnie prezentujących błogo-ironiczny wdzidek tego samouwieblenia. Przedstawienie tedy Jęnkiewicz (a — instytucji, nawet z jego skądinąd społecznym, ergo: groźną rolą rządzenia wszystkim i wszystkimi bez żadnych kompetencji — na tor, którym zwrotnicie przekradła raz Gogol, raz Gorki, a nie raz Kafka i Brecht — rozmija się po prostu z rodzajem tworzącyą tę komedię).

Odnoszę wrażenie, że tak wytrawny reżyser jak Górkiewicz, nie docenia — może nie tyle samego Fredry (bo pokazał już, że go dobrze zna) ile współczesnego odbiorcy sztuki. Popiełnił chyba, o czym wspominałem już, błąd super-pomysłowości Jarockiego w Rewizorze ze Starogo Teatru. To znaczy, szukał doradczych aktualności utworu poprzez niekomedię w zewnętrznej jej warstwie (co uwidoczniło się na tle dekoracji odrealniającej, projektu Anny Sekuły, czyli poprzez sce-

ne cyframi. W kącie osobisty totalizator pana Laquelle wystawiał język z białego papieru. Na tablicy krzyżki dodawania tworzyły miniaturowy cmentarz. Opanowała mnie dziwna niemoc.

— Niech pan posłucha — szepnąłem — trzeba znaleźć jakieś wyjście. Czy zechce pan... zechce pan opublikować na następny tydzień liczbę, którą ja podam? Ten demoniczny czar ogarniający pana nie działa na mnie! Na pewno się pomylił...

— Nigdy nie wiadomo!

— Nic nie szkodzi spróbować!

Uśmiechnął się:

— Jaką cyfrę pan proponuje?

— Sto osiemnaście, na przykład.

Zapisał ją w notesie, kiwając smutno głową.

*

Termin upływał w następnej sobotę o północy. Tego dnia od ósmej wieczór znajdowałem się w redakcji „Pocztę Pneumatyczną” z Gabaule-les-Ponts” gdzie totalizator ogłaszał nam, godzina po godzinie, ostatnich zmarłych z departamentu: „stu czteremnaście... stu piętnaście...” Siedziałem skurczony z niepokojem przed bezlitosnym aparatem. Stawka tego nieszczonego wysyci nieboszczyków było dobre imię, przyszłość pana Laquelle'a. Wyobrażałem go sobie w swoim pokoju, śledzącego wyniki, czekającego jak ja, na pomyłkę, być może modlącego się. O jedenaście liczb zgonów wynosiła sto szesnastą. Obok mnie dziennikarze wymieniali swe prognozy.

— Niemożliwe, żeby w ciągu godziny umarły dwie osoby!

— To się już zdarzało!

— Według mnie Laquelle trafił kulą w płot!

— On jest bardziej przebiegły niż się spodziewasz, stara małpa!

— Fortiche przepowiedział sto siedemnaście.

Nie mogłem znieść tej rozmowy. Wstałem. Już miałem wyjść, gdy ktoś krzyknął:

— Sto siedemnaście!

Wstrzymując oddech oparłem się o ścianę i zamknąłem oczy: „Żeby tylko nikt nie umarł przed północą! Żeby tylko nikt nie umarł przed północą! — powtarzałem w myślach. — Albo dwóch naraz...”

Nie umarł nikt. Za pięć dwunasta totalizator stale wskazywał liczbę sto siedemnaście. Oszałały z radości popędziłem do pana Laquelle. Przed jego domem natrafiłem na Fortiche'a, który siedział do niego.

— Widział pan? Pomylił się! — zaśmiał się szczerze, nikczemnik.

— Tak — powiedziałem — ale nie przyszło to bez trudu.

Poszedł za mną po schodach. Drzwi od mieszkania były otwarte. Weszliśmy do gabinetu. Zegar na kominku wskazywał północ. W kącie

pokoju totalizator zatrzymał się na liczbie sto siedemnaście. Podłoga ustatna była papierami. W powietrzu ciążyła groźna cisza.

Nagle rozległ się wystrzał. Rzuciliśmy się w stronę sypialni. W poprzek łóżka był rozciągnięty pan Laquelle, z rozpiętym kołnierzykiem, twarzą bladą jak ściana. Z nosa i z ust spływały mu strużki krwi. Rewolwer spadł na dywanik.

— Nie żyje! — krzyknąłem. — Niech pan biegnie zawiadomić policję. Proszę sprowadzić lekarza...

Fortiche podrapał się po głowie.

— Sto osiemnaście! — rzekł. — Wszystko jedno, popełnił wytworne erratum, szelma!

Henri Troyat

Komedia na opak

nograficzna metaforę „urzędu”, a także w kostiumach, które miały być rodzajem drwiącego uogólnienia wszelkiej rodzajowości). Jeśli dodać do tego ospałe tempo działań scenicznych wpływające na ustawienie dowcipu sytuacyjnego i spięć dialogowych, czy wreszcie upozowanie głównego bohatera na kukielkowy pomnik tyrańca, jak ze zjadliwych pamfletów teatralnych Brechta — okaże się, że tak zdemontowany, grany na zwolnionych obrotach i udrumaczonej Fredro przestaje być sobą. Widzimy więc na scenie zbiorowy portret systemu zniewolenia, ale choć przemawia on tekstem Fredry, nie przekazuje jednak w pełni Fredrowskiego poczucia humoru. Został bowiem przywołany głazem całkiem innego gatunku twórczości. Nie można powiedzieć, że obraz ten nie zawiera ostrej, a nawet zgrzytliwej porcji satyry. Zawiera, aż za dużo — lecz byłaby ona mniej namiętna, gdyby jej nie opinał ciśnień gorset uniemożliwiający swobodę uśmiechu. Uśmiechu ironicznego, który nie tylko nie zacierą ogólnej drwiącej wymowy sztuki, ale ją jakby podkornie wzmacnia. I niewiele zmienia tu fakt, że udało się Górkiewiczowi wzbogacić obecne przedstawienie kilkoma trafnymi pomysłami dramatycznymi, na czele z kapitalną sceną „buntu młodzieży” — przeciw staremu zadufkowi, gdy całość spektaklu nie wykazywała spójni stylistycznej.

Widowisko toczyło się, co prawda, wedle koncepcji reżyserskiej, lecz przesadnie serio, a przy tym rozwlekłe. Te wrażenia pogłębiały się jeszcze wskutek tego, że większa część tekstu nie dochodziła do widowni. Owe niedostatków dykcyjne stają się powoli plagą naszych teatrów. Niemalby również wpływ na hamowanie sprawności scenicznej większości wykonawców wywarły niezbyt fortunnie pomyslane i skrojone stroje, które usztywniały ruchy postaci, a ponadto tworzyły swoisty melanz stylów narzucając tym także niezdecydowany styl kreacji poszczególnych rol.

Tytułowego bohatera: Jęnkiewicz grał Marian Cebulski, zgodnie z zamysłem inscenizatora, a więc — małego dyktatora z wielkim wyobrażeniem o sobie, który budzi ponuro-groteskowe reakcje wśród otoczenia. W tej konwencji rola Cebulskiego została jakby ścięta na dołku i w wąskiej ilustracji tezy ostrzegawczej z plakatu. Wprawdzie dojrzałość oraz perfekcja warsztatu aktorskiego nie pozwoliły Cebulskiemu przedstawiać li tylko etykiety na manekinie żądy władzy, ale zażółć wypada, iż tej klasy artysta nie został obsadzony w roli bardziej odpowiadającej jego komediowemu emplot. Także w sztukach Fredry.

Rodem z Fredrowskiej galerii humoru byli bowiem w tym widowisku jedynie: Krzysztof Jedrysek (Dolski) — śmiejący zuchwaniem, znerwicowany aż do absurdu, nieszczytnie protegowany Jęnkiewicz, wystawiony w końcu na przyszłościowego dudka — oraz Jerzy Sagan (parodystyczny konterfekt Dyndalskiego z „Zemsty”) cennie przebranszowany na postać rządy Telembeckiego, Karol Podgórski (z ciepłą rubasznością zaznaczony Pan Ignacy) i Leszek Kubanek (surrealistyczno-farsowy Antoni, sąsiad Dolskiego).

Komediowy wymiar dobrej próby, choć już mniej Fredrowski, nadał Jerzy Gralik wcielienu jakby zdekalogizowanego i autoironicznego oficera Karola. Prostą i naiwną Anielę przepełnia dyskretna i naturalna wdziękami Danuta Wiercińska. Natomiast Marzena Trybała wydawała się skrepowana nie tylko fatalnie zaprojektowanymi w sensie plastycznym oraz użytkowym — bryczesami amazonki, lecz i pozą wampa-buntownicy, a na dodatek prawie wcale (prócz sceny „buntu”) nie było jej słychać. Andrzej Grabowski (Leon) ofiarne, choć bez sztyku nosił ubiór światłoczuły z fin de siecle'u (?) a wyglądał w nim jak w odzietej ze starszego brata, co jeszcze wyraźniej podkreślało niewyrażność jego scenicznego wcielenia. Wreszcie, epizodycznie wystąpili: M. Dziędziel, M. Świeciłowski, J. Zawirski, J. Hojda, W. Z. Jankowski, S. Jędrzejewski, S. Rokitta, Z. Ruciński i P. Sanakiewicz.

Jerzy Bober

Samozwańczy doktor Glenn Doman z Filadelfii wymyślił „sposób na uratowanie świata od zagłady”, a mianowicie — wychowanie w krótkim czasie kadry ludzi genialnych, czegoś w rodzaju nadludzi „mądrych, inteligentnych, serdecznych i dzielnych”.

Jeśli nawet filozofia Domana grzeszy naiwnością a osiąganę przez jego „szkolę” rezultaty dadzą się wyjaśnić biologom i pedagogom bez szukania w dzieciach znamion genialności, zjawisko opisane przez amerykańską dziennikarkę Mariorie Wallace na łamach szwajcarskiego pisma „PLUS” z pewnością zasługują na uwagę.

Seneria jest olśniewająca. Sztandar w kolorach tęczy z emblematem, przedstawiającym dziecko na otwartej dioniz, zwisa między dwoma pulpitemi. Dziekan i dyrektor stoją przy pulpiciach sztywno w jedwabnych, złotych brązowych szatach. Mistrz ceremonii ze złotą szarfą, łańcuchem i laską kroczy dostojnie między rzędami i towarzyszy pełnym łez matkom i ojcom od ławek dla widzów ku podium, gdzie wręczane im są dyplomy.

„Ja, dziekan Neil Harvey, zgodnie z zasadami karty, przyjętej przez Instytut Realizacji Potencjału Ludzkiego stanu Pensylwania... przyznaję Susannah Benson świadectwo Human Development jako matkę mającej kwalifikacje zawodowe”.

Po odebraniu błogosławieństwa dziekana idzie ona do Glenna Domana, ojca i założyciela instytutu, i całuje go. Doman przyjmuje hołd. Następnie matka, prowadzona przez mistrza ceremonii, idzie powoli między rzędami sztabu współpracowników (...). Nad całością panuje duch odświętności w stylu szczyłku cesarstwa. Tłum widzów jest pełen żarliwości wobec przeżyca łączącego elementy uroczystości rozdania dyplomów akademickich, olimpiady i religijnego nawrócenia.

Sam Doman łączy w sobie te elementy. Jest on (...) duchem przewodnim „spokojnej rewolucji”, która zmieni świat, przy czym wychowa „potężną liczbę ludzi, którzy są mądrzy, inteli-

tematyczne i encyklopedyczne”. Torrey Welker, 27 miesięcy, niepełnym krokiem wchodzi na scenę, „świe kciuk, odgarnia włosy, patrzy speszony. Jego specjalność to astrologia, prehistoryczne istoty żyjące, grzyby pospolite. Jego matka wyciąga 5 map przedstawiających planety i mgławice. „Która jest mgławica Oriona?” — pyta. Po krótkim wahanu Torrey wskazuje na mgławicę Andromedy. Mimo to oklaski. Niezależnie od dobrej czy złej odpowiedzi, dzieci muszą być zachęcane.

Jako następna wchodzi na scenę Erin Burchfield, 25 miesięcy. Jej tematami są minerały i dinozaury. Prawidłowo znajduje „łazuryt” wśród 5 minerałów. Bardzo żywe dziecko. Matka wyklada obrazki z dinozaurami, ale Erin jest przy niej zbyt zwinna: odwraca obrazki i szachruje, „czytając” podpisy na odwrocie. „Bronzozaury” mówi zadowolona z siebie, widzowie śmieją się (...).

Gwiazdą przedstawienia jest trzyletni Nicholas Greer (...). Siada uroczystie na ziemi i ze spokojną, wszytkowiedzącą miną studiuję swe kartki. Jego dziedziną to historia powszechna i matematyka wyższa.

Dają mu obrazki z flagami, meżami stanu i budowlami, przy których należy wskazać odpowiedni kraj. Wypełnia swe zadanie bez zarzutu a na dokładkę czyta z książki telefonicznej.

Po takim osiągnięciu trudno jest dojść do siebie, ale Dylan Leber jeszcze je przewyższa. Jego ojciec, Jack Leber przygotowuje właśnie doktorat z chemii i zajmuje się Dylanem i jego młodszą siostrą, podczas gdy matka pracuje zawodowo (...). „Co dokonuje się, gdy słońce świeci na rośliny i produkuje chlorofil?” — pyta ojciec. Chłopiec, który skończył właśnie 2 lata, natychmiast daje odpowiedź — „fotosynteza”. Potem bulwersuje publiczność rozpoznaniem skomplikowanych struktur molekularnych. Pokazuje model glukozy i rozróżnia modele riboflawiny i tiaminy.

Derek Katz jest wschodzącą gwiazdą Domana. (...) „Co chciałbyś dziś zrobić?” — pyta jego teść, pełna zapalu mama, Joan Katz. Wśród matek uczniów w zespole Domana cieszy się największym zaufaniem. Jej dwoje innych dzieci, siedmioletni Sean i pięcioletnia Brandi są okazami międzynarodowej szkoły, ale mama Katz spodziwiała się po Derku jeszcze więcej, ponieważ z nim zaczęła realizować program już kilka minut po urodzeniu go.

Derek decyduje się na „matematykę”. Joan kładzie przed nim 2 karty, jedna z 48 kropkami,

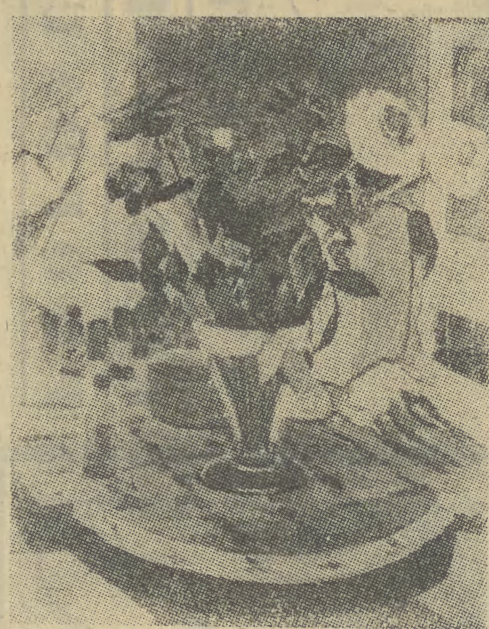
Post scriptum do felietonu plastycznego

Przedwojenną Polską wstrząsnął wielopiętrowy tytuł, który dla dobra sprawy, choć z zażenowaniem przytaczam. Brzmiał on bowiem: „PAN PREZYDENT NAJJAŚNIEJSZEJ RZECZYPOSPOLITEJ SRAŁ NA BALKONIE Z ODKRYTĄ GŁOWĄ!”

Czemu na balkonie, pytano, i czemu z odkrytą głową? Co chciał Pan Prezydent tą aluzją wyrazić i czemu, dla jakiej przyczyny, poczynny dziennik podkreślił brak jakiegokolwiek nakrycia głowy? Bo jeśli czemuś lub komus oddał w ten szczególny sposób cześć, to — hoho, pod tym gestem (?) kryje się zapewne sprawa najwyższej wagi państwowej!

Dopiero następny dzień rozwiał wszystkie spekulacje: winnym był chochlik, grasujący po druku od czasów Gutenberga, a Pan Prezydent stał po prostu na balkonie w pozycji wykluczającej, hm, tego.

Tenże chochlik objawił się przed tygodniem w Gazecie Krakowskiej, zniekształcając nazwisko znanego malarza, Czesława Kielbińskiego. I — jak to chochlik — przemienił je z niewybredną zjadliwością sztabaka na „Kielbasińskiego”, co nikogo zapewne nie zmiliło, jako że Kielbiński jest artystą zbyt znanym i zbyt często omawianym, by mogły mu zaszkodzić harce jakiegos tam gruboskórnego chochlika. Niemniej



Czesław Kielbiński — Żółte róże.

mowania surowych faktów z wiekiem maleje” — twierdzi Doman.

Zanim mózg gotowy jest do zaprogramowania, musi zostać wyposażony w to, co specjaliści od komputerów nazywają „systemem zakładowym” tzn. zespół podstawowych wiadomości, które są nieodzowne jako warunek wstępny dla bardziej złożonych wyników. Używając ciałę języka komputerowego, pustego do „cold startu” mózg oeska musi zostać „wystartowany”, aby posiadał gotowość do przyjmowania informacji.

Swą metodę „startowania” dziecka Doman wyprowadził ze swej również nieortodoksyjnej co kwestionowanej pracy nad dziećmi o uszkodzonych mózgach. Opiera się ona na powstałej w XIX wieku teorii, która mówi, że rozwój każ-

Nawet kobiety ciężarne nie są zwalniane od czołgania się po ziemi i zwieszania z drabinek. Są to palcówki dla mózgu, które należy opanować dla późniejszych wyższych osiągnięć.

Doman właściwie nie robił nic, by przekonać świat naukowy o przydatności teorii, która stoi za jego pracą. Nie jest on naukowcem. Podstawą jego teorii jest jego własna wiara w nią.

Tak więc jego praca spotkała się z ciepłą krytyką. W 1968 r. amerykańska akademia ds. porażek mózgu i sześć innych amerykańskich i kanadyjskich instytucji akademickich wydały komunikat o jego pracy nad dziećmi z uszkodzonymi mózgu, w którym stwierdza się, że (...) „jako naukowa hipoteza jego teoria wydaje się bezwartościowa”.

Podobne komentarze formułowane są dzisiaj w związku z propagowaniem jego idei przekształcania dzieci w geniuszy. „Do dziś jeszcze żadna metoda kształtowania super-dzieci nie przyniosła rezultatów” — mówi dr Nigel Beasley, docent psychologii na uniwersytecie Keel. „Doman nie jest wyjątkiem. Czerpie on korzyści z masy nonsensu”.

Jednak nie wszyscy są aż tak krytyczni. Harold Lyon, dyrektor biura ds. dzieci utalentowanych w amerykańskim departamencie wychowania mówi: „Mam wiele sympatii dla jego stanowiska. Pierwszy krok ku temu, by być geniuszem polega na wierze w cud”. Podobnie jak Doman, również on jest zdania, że wszystkie dzieci są niedoszłymi geniuszami.

„Pokażcie mi geniusza, a ja wskażę czynniki, które uczyniły go genialnym” — mówi Doman. Fizjologiczna podstawa jego techniki jest prosta: czy budzi człowieka ze śpiączki, czy dziecko o uszkodzonym mózgu uczy widzieć i chodzić, czy normalne dziecko kształci na geniusza — kluczem jest zawsze czystość i intensywność i okres trwania stymulacji. (...)

Niektóre metody Domana są jednak stopniowo akceptowane. Np. stosuje się dzisiaj częściową stymulację, by doprowadzić człowieka do przytomności z głębokiego omdlenia.

Rozwój geniusza rozpoczyna się w pokoju dziecięcym, zaraz po urodzeniu: przed oczami dziecka włącza się i wyłącza ustawione blisko jasne światło. Celem następnego stopnia powinno być nauczenie dziecka rozpoznawania konturów: między oczami dziecka a źródłem światła trzyma się czarne karty o kształcie trójkątów, czterokątów i koła.



dego dziecka jest powtórzeniem historii ewolucji człowieka.

Doman dostrzegł w trzepoczących, wijących ruchach noworodka powrót do prehistorycznej ryby. Pełzanie stanowiło następny stopień rozwoju — amfibie, itd. Ziemia — stwierdził on — musi być ważna dla stymulacji mózgu małego dziecka, troszczy się więc o „sprężenie zwrotne”, które jest konieczne, by zestroić wzajemnie szereg kontrakcji mięśniowych, by dziecko mogło się turlać, kłębić, a później czołgać, podczas gdy rozwijają się dalej jego zdolności koordynacyjne. Niektóre plemiona ludzkie — uważa Doman — tylko dlatego nigdy nie były w stanie rozwinąć pisma bądź przejsz do wyższej kultury ośiadłej, ponieważ niemowlęta nigdy nie były tam kładzione na ziemi, lecz stałe noszone przez matki.

Po etapie ambibii następuje etap małp. Doman uważa, że nasza kultura zaniebuje ten ważny krok w rozwoju i zaleca zwieszanie się ze szczebla na szczebel poziomu ułożonej drabiny. Rozwija to oko i rękę i jest ważnym stopniem do osiągnięcia wyższych umiejętności jak pisanie i czytanie. Wszyscy uczestniczący w kursie rodzice zmuszani są do tego wraz z dziećmi.

Po jednym lub dwóch miesiącach można uczyć dziecko czytać, posługując się kartami, na których umieszczane są pojedyncze słowa, wypisane wyraźnym pismem, literami mającymi około 12 cm wysokości. Ponieważ dziecko nie powinno się nudzić, matka trzyma kartę przed jego twarzą tylko przez kilka sekund, wymawiając równocześnie to słowo.

Metoda z kartami nie różni się zbytnio od stosowanej w wielu szkołach przy nauce czytania, kiedy dzieci opowiadują całe słowa, tyle tylko, że Doman stosuje ją wobec o wiele młodszych dzieci i pokazuje słowa o wiele krócej.

Obserwowałam niektóre dzieci przy pracy. Jamie Frodingham, nie mający jeszcze 2 lat, siedział przy matce i omawiał z nią szczegóły ze swej encyklopedii. Pokazał na dziką świnię i spytał: „Jak nazywa się samica dzika? Czy locha? Dostaje dziennie 20 nowych słów do oglądania i umieć nawet rozwiązywać proste równania: „Jamie, ile to rodynek?” — spytała jego matka i rozrzuciła ich garstkę. „Trzynaście czy piętnaście?”

Nie licząc, 23-miesięczne dziecko znało natychmiast właściwą odpowiedź: „Trzynaście”. Gdy jego matka odwróciła się, wzięłam jeden

I twoje dziecko może zostać

gentni, serdeczni i dzielni. To zwielokrotnienie inteligencji — stwierdza — nie w ciągu stuleci, lecz już w ciągu niewielu lat może doprowadzić do Złotego Wieku rozwoju, dobrobytu i pokoju dla ludzkości”.

I dlatego jesteśmy tu, 87 par rodziców ze wszystkich części Stanów Zjednoczonych, a także z 15 innych krajów jak: Brazylia, Nowa Zelandia, Szwajcaria i Wielka Brytania. Udział w tygodniowym kursie w Instytucie „Better Baby” w Chestnut, 35 km na południowy-zachód od Filadelfii, kosztuje 400 dolarów. Od mistrza mamy się nauczyć duchowej alchemii, która nasze zwyczajne dzieci przekształci w istoty wyższe.

Doman jest raczej niewysokim, siwobrodym 61-latkem o silnej i bezwzględnej osobowości. Jako były podpułkownik z odznaczeniami wojennymi (...) z wojskową punktualnością prowadzi swój kurs „Better Baby”. „Wszyscy geniusze zostali wykształceni, nie urodzili się nimi — grzmi po raz piętnasty. „Żaden geniusz nie jest przypadkiem... Każde dziecko przychodzi na świat z większym potencjałem niż Leonardo da Vinci...”.

Audytorium, w którym pracujemy do 8 godzin dziennie — z dziesięciominutowymi tylko przerwami — trzymane jest w mroźnej temperaturze 11 stopni C: najwyższej temperaturze w jakiej — zdaniem Domana — funkcjonuje mózg.

Pod koniec każdego dnia Doman zbiera wokół siebie swój 50-osobowy sztab, by przyjmować jego pochwały i omawiać przebieg dnia. Za nimi wisiei potężna wojskowa mapa świata, w której wteknięte szpilki oznaczają jego „zwycięstwa”: miejscowości, w których zorganizował filie swego instytutu bądź znalazł wierzących mu rodziców.

Doman żąda od swych współpracowników — i otrzymuje — pełną ofiarę czasu i energii. Żaden wysiłek nie może być za duży, gdy chodzi o stymulowanie mózgu małego dziecka, nim nie będzie ono „za stare”. Rodzice, przeważnie z cenzusem akademickim, ożywiani zapalem zrobienia geniuszy ze swych dzieci, chętnie mu się poddają.

Punktem kulminacyjnym dnia są przedstawienia, jakie dają dzieci instytutu Evana-Thomasa, synowie i córki młodzieży Domana. Każdego popołudnia przed salą wykładową ustawia się z matkami szereg jasnowłosych pederaków w białych bluzach i lilowych (kolor „idealnego dziecka” górującego fizycznie i umysłowo) ogrodniczkach. Wśród nich jest także kilkoro wiekszych, „renesansowych dzieci” Domana w wieku od 4 do 7 lat, które w międzynarodowej szkole instytutu zostały już ukształtowane na „geniuszy”.

Najdziwniejsza demonstracja jest wówczas, gdy maluchy i matki pokazują „wiadomości ma-

druga z 56. „Weź czterdzieści osiem” — żąda. Derek, ledwie siedmioletnie dziecko, opada na kartę z 56 kropkami, śliniąc się z zadowolenia. „To niezwykle” — mówi Joan, „99 razy na 100 robi to prawidłowo”. Rzeczywiście, następnie dwa razy daje prawidłową odpowiedź. Również asparagus znajduje prawidłowo wśród 5 obrazków. (...)

Dwa dni później daje pokaz muzyczny: potrafi odróżnić nagrania z muzyką Vivaldiego od Bacha, Gershwina i Czajkowskiego. To godne podziwu osiągnięcie musimy przyjąć na wiarę, ponieważ Derek nie umie mówić i jego reakcja na Vivaldiego wyraża się blyskiem w oku, co budzi u widzów cień wątpliwości. Maluch raczkuje jednak ku portretowi właściwego kompozytora, leżącemu wraz z innymi na podłodze.

Cechą charakterystyczną „renesansowego dziecka” Domana jest jego zainteresowanie kulturą. Wizyta w muzeum, w galerii sztuki czy teatrze baletowym jest już dla dziecka czymś szczególnie korzystnym.

Demonstracja wiekszych dzieci składa się z rozmowy w 5 językach, quizu, przy czym ochotnicy wybierani są spośród publiczności by dowiedzieć, jak słaby jest umysł dorosłego, dosyć niemyślnego programu na skrzypcach Suzuki i robiącego wrażenie pokazu „doskonałości fizycznej” (...). Jesteśmy pokonani. Dzieci wyglądają od stóp do głów jak młode bóstwa, za jakie Doman je uważa.

Nauka Glenna Domana jest nieortodoksyjna. W zasadzie wychodzi on z założenia, że umysł małego dziecka jest jak pamięć komputera, czekająca na zaprogramowanie. Należy nasycić go danymi, co u zupełnie małego dziecka jest zabiegiem o wiele łatwiejszym niż u nieco tylko starszego. Kiedy ma ono 6 lat, jest już o wiele za późno. Nawet w swe drugie urodziny dziecko jest za stare neurologicznie. „Zdolność do przy-



Co nam zostało z tych lat

Kraków jest przedziwnym miastem! Tutaj wykład naukowy, często zamienia się w gawędę interesującą szerokie rzesze ludzi. Tu kształt materialny zabytku, opisany na dziesiątą stronę, jak gdyby stałe się przedmiotem opowieści. Fabułą oczywiście jest opis linii architektonicznej, próba wyrażenia słowami wrażeń odbioru kolorów. Wszystko to wynika z sytuacji zachowania

znacznej części właśnie materialnych dowodów działania kulturalnego.

Ukazuje się w serii „DZIEJE TEATRU W KRAKOWIE” nowa książka pióra Kazimierza Nowackiego „Architektura krakowskich teatrów” (Wydawnictwo Literackie, druk ukończono w lutym 1982 r., 169 ilustracji, 600 stron, cena 196 zł). I od razu staje się przedmiotem gorących poszukiwań nie tylko znawców przedmiotu, ale i zwyczajnych czytelników. To my, zwyczajni mieszkańcy Krakowa codziennie, co drugi dzień lub raz na tydzień (wybaczcie ze miare) mijamy w Ryнку Głównym Pałac Spiski, Pałac Pod Krzyżstofory, od kilkunastu lat odnawiany Hotel Saski, mijamy budyneczki, które dzisiaj uważamy już tylko za resztki urządzeń scenicznych — te przy ul. Rajskiej, Krowoderskiej. I nawet nie pamiętamy, że tam kiedyś działały teatry, że było to często miejsca występów znomych artystów, wirtuozów — muzyków (np. Paganiniego). Nie zdajemy sobie sprawy z tego, że mnóstwo sal reutowych, stowarzyszeń wychowawczych, instytucji klasztornych stanowiło niezwykle interesującą sieć występów teatralnych. Prawde powiedziałszy Kazimierz Nowacki w omawianym tu dziele udowodnił, że Kraków jest jednym z

nieliczonych miast w Europie i na świecie, gdzie zachowały się w dość dobrym stanie budynki teatralne pochodzące z końca wieku XVIII, wieku XIX i początku naszego stulecia.

Nowacki rozpoczyna swe dzieło następującym fragmentem: „Stały teatr zawodowy w Krakowie został założony w 1781 roku z inicjatywy Feliksa Oraczewskiego, człowieka wielce zasłużonego dla naszej kultury, jednego z inicjatorów utworzenia Komisji Edukacji Narodowej, a w latach 1786—1789 rektora Uniwersytetu Jagiellońskiego. Kierownictwo zespołu aktorskiego objął przybyły z Warszawy Mateusz Witkowski”. Witkowski dla celów teatralnych wykorzystał Pałac Spiski, gdzie działał do połowy wieku XVIII teatr Lubomirskich. Następuje przebudowa sali. Kolejnej dokona Jacek Kluszewski — świetny przedsiębiorca teatralny. Warto też przypomnieć, że przedstawienia teatralne odbywały się w „cie” — izbie dawnego spichlerza ratuszowego, w kamienicy „Zerwikapturn” przy ul. Grodzkiej, w kamienicy Lichockiego przy ul. Szpitalnej, w kamienicy Kikulinosa w Ryńku Głównym...

Kolejna robota inwestycyjna, jakbyśmy to dzisiaj powiedzieli, to budowa gmachu teatralnego przy pl.

Szczerpańskim, na rogu ul. Jagiellońskiej. Jest to zasługa wspomnianego tu Jacka Kluszewskiego. Nowacki twierdzi, że architektem tego obiektu był spolonizowany Francuz Szczepan Humbert, który w 1788 roku otrzymał od króla Stanisława Augusta Poniatowskiego patent na budowniczego miasta Krakowa.

W części pierwszej „Architektury krakowskich teatrów” autor zajął się teatrami w pomieszczeniach poklasztornych, salami reutowymi i widowiskowymi na początku wieku XIX. Osobno pisze o projektach budynków teatralnych na Ryńku Sebastian Sierakowskiego (nie zrealizowanych) oraz o przedsięwzięciach budowy foksarów — sal rozrywkowych, po części handlowych. Resztkę tego przedsięwzięcia, nie dokończonego ostała się w budynku kawiarni przy Plantach między Kościołem św. Krzyża i budynkiem szkolnym św. Scholastyki. Bardzo interesujące są opisy przebudowy Starego Teatru, urządzania tam również sal reutowych. Otwarto wtedy Teatr Stary po renowacji 1 stycznia 1843 roku. Kolejny rozdział

działów tego obiektu należy już do części trzeciej naszej książki, gdzie doc. Nowacki przedstawił bardzo interesujące rozważania na temat secesyjnej przebudowy tej wielkopomnej sceny.

Naturalnie główną, najobszerniejszą część rozważań naszego autora stanowi „Eklektyzm”. Autor zajmuje się tam sprawą budowy Teatru miejskiego. Nie jest to jeszcze jedyna banalna historyjka o robotach Zawiejskiego, o wyburzaniu starych obiektów duchackich. Część trzecia książki to rzetelny opis zarówno lokalizacji budynku Teatru im. J. Słowackiego, pierwszego i drugiego konkursu, samej budowy, która w gruncie rzeczy dokonana została w iście piekielnym tempie. Proszę porównać dwa zdania Kazimierza Nowackiego z tego fragmentu rozważań: „Jesienią roku 1880 przystąpiono do kopania fundamentów pod teatr oraz wyburzenia resztek pozostałych zabudowań poklasztornych na pl. św. Ducha”. Zdanie drugie: „Po ponad dwudziestu latach dyskusji, starań i zabiegów nowy gmach teatru został otwarty, było to 21 października 1893 roku w południe”. Nikt dzisiaj nie chce uwierzyć że prace budowlane tego gmachu trwały trzy lata!

Bardzo pięknie pisze Nowacki o Teatrze Bagatela projektu Zarzeckiego, z którym Rada Artystyczna miasta Krakowa prowadziła ciężkie boje. Autor opisuje również kolejne przebudowy tego obiektu.

Autor zajmuje się również dość szczegółowo różnego rodzaju obiektami wniesionymi w międzywojennym dwudziestolecu, powojenną architekturą teatralną (Teatr Ludowy w Nowej Hucie), nie zrealizowanymi projektami budowy gmachu Teatru Muzyycznego w Krakowie i obiektów Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej im. Ludwika Solskiego, które miały objąć również przyzwoitą scenę szkolną. Czas zaznaczyć, że dawny gmach „Sokoła” w Podgórzu wykorzystywano dla potrzeb teatralnych, tak jak salę dawnego Solvay’a w Borku Fałęckim. W gruncie rzeczy czekamy na realizację kolejnych budynków już sensu stricto teatralnych. Przeczekamy. Słowo to w Krakowie jest uzasadnione. W końcu patrzą na nas wieki...

Olgiędr Jędrzejczyk

HUMOR POLSKI

Szukam współnika

MARIAN ZAŁUCKI

Postanowiłem dać anons taki do dziennika —
odpowiednio duży,
by uwagę skupiał:
CHCĘ ZOSTAĆ PORZĄDNYM
CZŁOWIEKIEM —
POSZUKUJĘ WSPÓLNIKA
Sam się nie będę wygłupiał!

Z notatnika nerwowca

JULIAN TUWIM

Od pięciu dni nie noszę szelek. Stare się podarły, nowych nie mogę kupić. Boże! Wejść do sklepu i zacząć wybierać szelki! Jest mi absolutnie wszystko jedno, jakie wezmę, a tam przecież otworzą kilka pudeł... zapytają, czy „oryginalne angielskie”... zaczął zachwalać, demonstrować. Wreszcie zdobyłem się na śmiałość. Mówię: „Chciałem kupić szelki”. — „Jakie, proszę pana”. Powiedziałem: „Jacksona i Humperdincka, oryginalne z propoletami nr 19 i pół!” Subiekt spojrział na mnie zdumiony, ale z szacunkiem. — „Takiego gatunku nie ma”. Wyszedłem z miną wyniosłą i obojętną.

Morda mi spuchła. Agrafki drą koszulę. Stująca przyniosła straszny syfon: trzeba długo trząść, zanim parę kropel wyciurka. Zdjęli firanki i portierey. W pokoju jest jasno, nago. Stasiak dzwonił, żebym mu oddał rękopis. Nie wiem, gdzie go zapodziałem. Przewracam szuflady, szafy, biurka. Wszystko jest, tylko tego rękopisu nie ma. To ścierwo „nie posiada kopii”. Toś nie mógł, cholero, zrobić kopii.

Teksty pochodzą z książki „Przedstawiamy humor polski. Pory roku”. Wyboru dokonał Jerzy Wittlin. Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe 1974.

RECEPTA PETERA

Jak być twórczym,
pownym siebie
i kompetentnym

Angielski naukowiec dr Laurence J. Peter w roku 1972 wydał książkę, którą opatrzył tytułem „RECEPTA PETERA”. Tę interesującą, pouczającą i miejscami zabawną książkę wydano w Polsce w roku 1975. Wydaje się, iż nasza propozycja przybliżenia niektórych tez Petera spotka się z zainteresowaniem naszych Czytelników — niech nam wybaczą Ci, którzy książkę znają... Autor przez wiele lat prowadził badania poświęcone zjawisku kompetencji i niekompetencji. Doprowadziły one do sformułowania Zasady Petera, która brzmi:

„W HIERARCHII KAŻDY PRACOWNIK STARA SIĘ WZNIOSĆ NA SWÓJ SZCZEBEL NIEKOMPETENCJI”.

Człowiek układa swoje sprawy hierarchicznie. Jego szkoły uszeregowane są według stopni: od przedszkola aż do uniwersytetu. Jego interesami zajmują się urzędnicy, zasługiwani według szczebli. Jego społeczeństwo zorganizowane jest w ten sposób, że podatnicy tworzą podstawę piramidy, a przywódcą narodu jej szczyt. Podobnie wojsko, sport i mafia mają strukturę hierarchiczną. (...)

Każda hierarchia składa się z systemu szczebli, stopni czy klas, do których można zaliczyć daną jedno-

stkę. Jeśli jest to jednostka kompetentna, może przyczynić się do pozytywnych osiągnięć ludzkości. Dzięki wspianiu się po drabinie może przesunąć się ze szczebla kompetencji na szczebel niekompetencji.

Zawsze istnieje na świecie jakaś praca, której ktoś gdzieś nie potrafi wykonać. Jeśli temu komuś da się wystarczającą ilość czasu i awansów, natrafi on ostatecznie na tę pracę i pozostanie przy niej, notorycznie źle ją wykonując, sprawiając zawód swym współpracownikom i działając na szkodę swej instytucji.

Zasada Petera nie zajmuje się jakimś przeocenieniem, przejęzieniem, jakimś faux pas czy przypadkowym błędem, który może się zdarzyć każdemu z nas. Każdy może popełnić błąd. Najbardziej kompetentni ludzie w historii mieli swoje potknięcia. I odwrotnie, człowiek notorycznie niekompetentny może kiedyś przypadkiem postąpić właściwie.

Nie przejmie mnie błąd drobny, dla którego słabość natury naszej usprawiedliwieniem.

EARL OF ROSCOMMON

Chociaż wszelkie niewątpliwie osiągnięcia są dziełem tych, którzy nie dotarli jeszcze do Ostatecznego Stanowiska, każdy podlega działaniu Zasady Petera. Każdy jest ukrytym nosicielem awansu. Gdy wielka liczba jednostek osiąga swój szczebel niekompetencji, balast się kumuluje, niedołączona biurokracja wzrasta, jakość się obniża, mierność triumfuje, instytucje zawodzą, rząd upada, cywilizacja kruszeje i przyszłość ludzkości maluje się w ciemnych barwach.

Jest paradoksem, że w naszych czasach gwałtownych, drastycznych zmian, gdy na naszych oczach przyszłość przesłania te-

rażniejszość, bardziej niż kiedykolwiek nie wiemy, co nas czeka.

E. HOFFER

Po opublikowaniu Zasady Petera otrzymałem tysiące listów od ofiar tej Zasady, proszących o rozwiązanie ich problemów osobistych. Po moich odczytach zawsze proszono mnie o podanie sposobu rozwiązania specyficznych problemów. Wszystkie pytania można podzielić na dwie główne kategorie.

● Co mam robić, by uniknąć Symptomu Ostatecznego Obsadzenia Stanowiska?

● W jaki sposób, jako dyrektor, mogę utrzymać swoich urzędników na właściwym im szczeblu kompetencji?

Właściwym celem książek jest zmusić umysł, żeby myślał po swojemu.

C. MORLEY

Wielu autorów udziela odpowiedzi, zanim jeszcze zrozumie pytanie. Nie dotyczy to Recepty Petera. Rozumie działanie Zasady Petera, a proponowane tutaj środki są wynikiem długich lat badań. Nie zawsze zalecam postępowanie najłatwiejsze, lecz wykonanie moich zaleceń doprowadzi do wielkiej osobistej satysfakcji i do radości płynącej z rzeczywistych dokonań.

Zawsze istnieje łatwe rozwiązanie każdego ludzkiego problemu: trafne, możliwe do przyjęcia i błędne.

H. L. MENCKEN

Celem Recepty Petera jest osiągnięcie szczęścia we wszystkich okolicznościach życia: dzięki pogłębieniu własnej osobowości lub wykorzystaniu swych najlepszych możliwości przy równoczesnym uniknięciu pułapek niekonsekwencji.

(C.d.n.)

Chcecie to wierzyć...

Kilka lat temu w Wydawnictwie Literackim wyszła książka dr WIKTORII DOLIŃSKIEJ pt. „Co mówią nasze sny”. Autorka bardzo długo, bo przez kilkadziesiąt lat gromadziła materiał do książki o snach i podjęła próbę wypracowania własnej metody interpretacji snów w oparciu o krytyczne korzystanie z osiągnięć poprzedników w tej dziedzinie od Freuda po Fromma.

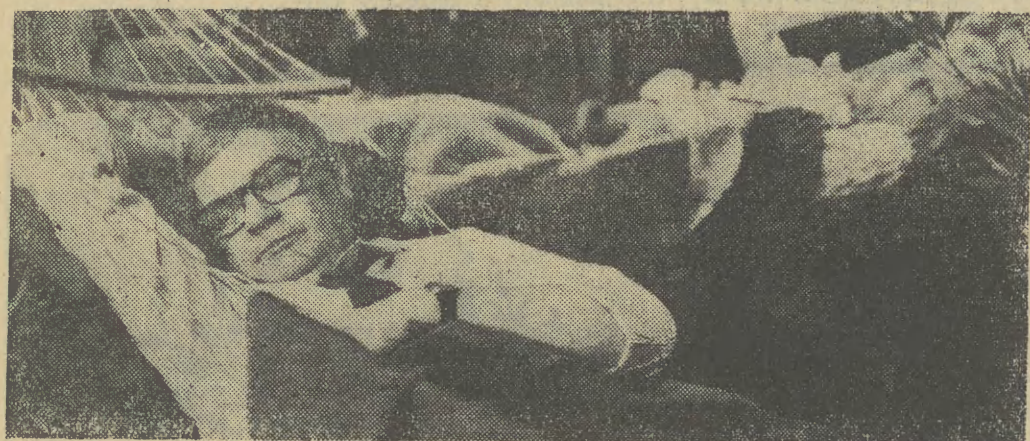
Dolińska stara się odczytać z treści snów takie informacje, których osoba śniąca sobie nie uświadamia. Co więcej wysnuwa z treści snów elementy istotne dla dalszych losów, odnosząc to do różnych okoliczności z życia człowieka. Autorka dopatruje się wspólnej wymowy symbolów snów i symbolów powszechnie znanych z twórczości literackiej i ludowej.

Z konieczności musimy się zdecydować na dość przypadkowy wybór interpretacji, mamy jednak nadzieję, że da on mimo tego pewne wyobrażenie o metodzie stosowanej przez dr. Dolińską. Oto kilka przykładów:

SEN O SMOKU (Kraków)

— Śniło mi się, że królowa Jadwiga poszła wykopać się do Wisły — opowiada 13-letnia dziewczynka — ale smok ją pożarł.

— Jak wyglądała królowa Jadwiga? Czy



była do kogoś podobna, np. do twojej mamy?

— Była podobna do mnie.

SEN O GRUBYCH ŻABACH
(Praga, Czechosłowacja)

Na brzegu wody siedziało dużo wielkich, grubych żab. Dłaczego są one takie grube? — pomyślałam sobie. — Ah, bo najadły się tak dużo ryb.

Jest to sen 20-letniej studentki medycyny, która w tym okresie życia zastanawia się

nad właściwym dla siebie rozwiązaniem problemu seksualnego. Większa część jej koleżanek znalazła już sobie partnera seksualnego i jest z tego zadowolona.

Interesująca jest w śnie „mowa” sensownie powiązana i symboliczna. Symbole seksualne: woda, ryby, jedzenie. Ponieważ żaby są istotami czującymi się dobrze w wodzie, możemy je uważać za symbol indywidualny, oznaczający kobiety prowadzące swobodne życie seksualne, wyrażone we śnie przez

„jedzenie ryb”. Grubość — to symbol dumy, zarozumiałości. Cały nastrój tego snu, nieprzyjemny w odczuciu studentki, raczej nie zachęca do naśladowania owych „grubych żab”. Pragnie ona bowiem życie seksualne rozpocząć z człowiekiem którego pokocha. „Mowa” jest w tym śnie sensownie powiązana z całością i symboliczna.

SEN O WĄSKIEJ ŚCIEŻCE
I LOKOMOTYWIE (Kraków)

Ide wąską, piaszczystą ścieżką, nisko położoną i pozbawioną zieleni. Nagle widzę, że naprzeciw mnie jedzie ogromna czarna lo-

komotywa, jakby wprost na mnie. Boję się bardzo. Gdy lokomotywa jest już bardzo blisko, wjeżdża na wysoki nasyp kolejowy i mija mnie. W tej samej chwili ścieżka, po której idę, podnosi się aż do wysokości nasypu. Oddechuję z ulgą.

Sen ten zjawiał się u pewnej kobiety tuż przed egzaminem komisyjnym, którego bardzo się bała, choć była dostatecznie przygotowana. Dlatego sen zawiera „silny” komponent lękowy, wyrażony obrazem ogromnej czarnej lokomotywy, jadącej jakby wprost na osobę śniącą.

Ponieważ zakończenie snu nie zapowiadało żadnej poważnej komplikacji, jego autorka, która lubiła śledzić swoje sny i dopatrywać się w nich elementów uprzedzenia wydarzeń, przystąpiła do oczekującego ją egzaminu dość spokojnie. Gdy jednak pierwszy dwaj egzaminatorzy nie zapytali jej ani słowem o problemy, które polecieli jej przygotować, zdenerwowała się tak bardzo, że jedynie z wielkim trudem udało się jej zebrać myśli, by móc odpowiadać dwom następny egzaminatorom. Dlatego ścieżka widziana we śnie podniosła się ca prowa, lecz do końca pozostała pozbawiona zieleni. Trudno wątpić o prawdopodobieństwie również takiego związku między sytuacją towarzyszącą a elementami snu.

Co mówią nasze sny

Kto o tym wie?



Sophia Loren
farmerką

Sophia Loren i jej mąż, producent filmowy Carlo Ponti kupili w USA farmę prawie za dwa miliony dolarów. Znajduje się ona w rejonie gór Santa Monica w Kalifornii. Liczy 15 hektarów. Stoi na niej duży dom, trzy domki gościnne, stajnia dla koni i wiele olchowych drzew. Sophia Loren chce na tej farmie mieszkać ze swoimi synkami, 12-letnim Carlem i 8-letnim Eduardem.

PALMY W... ARKTYCE

Zielone palmy i egzotyczne drzewa, a także żyjące w wilgotnych i błotnistych rejonach ogromne żółwie i drańskie aligatory występowały ongiś na arktycznym archipelagu Spitsbergenu. Ten tajemniczy świat tropiku istniał tutaj 40—65 mln lat temu. Jego ślady widnieją także w złożach węgla, odkrytego niedawno na Spitsbergenie. Według naukowców, panował tutaj klimat podobny do tego, jaki występuje obecnie w Indochinach w rejonie zwrótnika Raka. Nie określono jeszcze jakim sposobem wiecznie zielone rośliny mogły rosnąć w warunkach nocy polarnej bez aktywnej fotosyntezy.

KORALE Z GŁĘBI
ZIEMI

Korale można otrzymywać na kontynencie, nie wyruszając po nie na morza i oceany. Udowodnili to naukowcy z Litewskiej SRR, którzy przy opracowywaniu mapy geologicznej odkryli pod ziemią na głębokości kilku set metrów kolonie korali. Uczestnicy ekspedycji napotkali tam trzy pokolenia raf podziemnych. Zjawisko zainteresowało także paleontologów, którzy stwierdzili, że kilkadziesiąt lat temu tereny te były kilkakrotnie dnem morza. Zdaniem geologów złoża korali z Łotewskiej i Litewskiej SRR, występujące w rejonach nadbrzeżnych Morza Bałtyckiego, można z powodzeniem wykorzystywać na skalę przemysłową.

Liza Minelli
najhjojnieszja

Związek amerykańskich barmanów chciał wiedzieć, kto ze świata artystycznego i znanych osobistości daje największe napiwki.

W tym celu zebrano opinię od 7 tys. taksówkarzy, barmanów i fryzjerów. W ankiecie tej pierwsze miejsce zdobyła Liza Minelli oraz jej mąż, Mark Gero. Na następnych miejscach znaleźli się Jackie Onassis oraz Frank Sinatra. Na końcowych wymieniono największe skenery, za które ankietowicze uznali Farrah Fawcett i Blance Jagger.



Tylko pozornie jest to banalna sprawa obyczajowa. Później, jako że zawsze tam, gdzie występuje stosunek służbowy, polegający na relacji przełożony — podwładny, intymne sprawy między paniami i panem nabierają specyficznego kontekstu. Kontekstu szkodliwego, gdy przełożony próbuje na podwładnej wymusić zachowanie naruszające sferę jej dóbr osobistych.

Jest w Krakowie instytucja, która mieni się wychowawcą. Nie będziemy w tym miejscu analizowali wychowawczych zasług czy zaniedbań owej instytucji — a ściślej to określając — organizacji, wystarczy gdy oprzemy się na faktach.

Do złej tradycji wspomnianej „firmy” należą alkoholowe libacje odbywające się w służbowych pokojach. Inicjatorem i uczestnikiem wielu z nich był sam szef. Kolejna pania odbyła się pewnego lutowego wieczoru. Popijawa zakończyła się milicyjną interwencją, w wyniku której Prokuratura Rejonowa dla Dzielnicy Kraków-Krowodrza wszczęła śledztwo.

Zanim do tej interwencji doszło szef „firmy” — czyli Zbigniew D. — zmienił sobie sekretarkę. Do zmian na sekretarskim krześle dochodziło często, jako że pan D. traktował współpracującą z nim młodą dziewczynę prawie jak swoją osobistą własność. Miały nie tylko uśmiechać się, być przyniome, umieć parzyć kawę czy herbatę, chłodzić wódkę, ale także być gotowe do spełniania różnorodnych me-

skich zachcianek pana szefa. Gdy zachcianek nie spełniały, musiał opuścić biurko w sekretariacie.

W połowie grudnia ubr. w Krakowie zjawiała się kolejna sekretarka, na stałe zamieszkała w odległym od Krakowa mieście. Zbigniew D. jak na prawdziwego dżentelmena przystało wynajął młodej dziewczynie pokój w hotelu

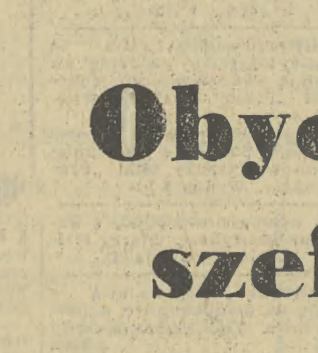


Zderzenia
z Temidą

„Cracovia”. W tym wynajęciu nie byłoby jeszcze nic zdrożnego, gdyby Zbigniew D. stosowną opłatę uiszczył ze swojej kieszeni. Tego jednak nie zrobił, lecz rachunkiem opiewającym na kilkusetziesięć sumę obciążając kierowaną przez siebie „firmę”. Księgową argumentując swoje stanowisko odpowiednimi przepisami sprzeciwiała się zapłacie, jednak pan D. przepisał na zwykły się nie przejmował, więc społecznymi pieniędzmi opłacił pobyt dziewczyny w ekskluzywnym hotelu. W tym miejscu należy dodać, że „firma” pana D. posiadała w Krakowie wiele pokoi gościnnych i umieszczenie w jednym z nich przybyłej z daleka sekretarki nie stanowiło żadnego problemu.

Przy okazji powiedzmy i to, że obecnie sekretarka w takim właśnie gościnnym pokoju mieszka.

Chciał ośnić nową sekretarkę. Swoimi możliwościami, krakowskimi koneksjami. Kiedy sądził, że grunt został odpowiednio przygotowany, pewnego wieczoru odwiedził w hotelowym pokoju młodą panią w celach jednoznacznych. Panią okaza-



zała się jednak rezolutna, sprawdziła recepcjonistę, który wywabiał ją z opresji. To co nie udało się w hotelu, miało się udać na terenie „firmy”. Dziewczynie wyznaczono wieczorny dyżur, który w żargonie nazywano „wojennym”. Do obowiązków dyżurantki należało parzenie herbaty, mycie kieliszków, donoszenie alkoholu, gdyż pan D. urządził w swoim gabinecie libację. W jej trakcie, w pokoju służącym właśnie sekretarce-gospodarce, celom, zaatakował dziewczynę.

Był to atak jednoznaczny. Na szczęście dla dziewczyny szef był mocno wstawiony co sprawiło, że sekretarce udało się wyrwać z jego namiętnych uścisków. Mimo gróźb, w myśl

których pan D. obiecywał sekretarce, że jak będzie „niegrzeczna” to on, szef, wyleje ją z pracy — dziewczyna obawiając się ponownego „ataku” postanowiła szukać pomocy.

O incydencie zawiadomiona została Komenda Dzielnicy MO Kraków-Krowodrza. Dyżurujący owego wieczoru mjr mgr Weber zareagował natychmiast i właściwie. Do „fir-

my” pana D. wysłany został milicyjny radiowóz. Natychmiastowe przybycie patrolu przerwało libację. Przy okazji doszło do surrealistycznej scenki. Oto pijany Zbigniew D. wmałwiał funkcjonariuszom, że w „firmie” żadnej libacji nie ma, a on wcale nie jest panem D. lecz zupełnie kimś innym...

Atakowana dziewczyna nazajutrz po incydencie zjawiała się w Prokuraturze, gdzie złożyła stosowne doniesienie, domagając się ścigania sprawcy. Ponieważ była w miernym, psychicznym stanie odwiedziła także krakowskie Pogotowie Ratunkowe, gdzie otrzymała lekarskie zwolnienie. Prokuratura Rejonowa dla dzielnicy Kra-

ków-Krowodrza wszczęła śledztwo.

Jest ono w toku i dlatego nie podajemy dodatkowych szczegółów, na które przyjdzie pora po zakończeniu prokuratorskiej pracy. Sprawa jest — jak nazywają to prawnicy — rozwojowa — gdyż ta sama Prokuratura prowadzi postępowanie w sprawie nadużyć finansowych, które miały być dokonane w „firmie” kierowanej przez Zbigniewa D.

W tym miejscu nie przesadzamy wyników obu śledztw. Od kwalifikacji prawnej jest najpierw prokurator, a potem sąd. Trudno nam jednak nie zwrócić uwagi na dziwne zjawy panujące w „firmie”. Mimo coraz wyższych wymogów stawianych kadrze kierowniczej, mimo wyraźnych obostrzeń, które wprowadził stan wojenny, gdzieś tam jeszcze uchowali się panowie, którzy sądzą, że w naszym kraju nie się nie zmieniło, że ich dawne znajomości i dawne wpływy ciągle mają moc obowiązującą. W dobrze pojętym, społecznym interesie należy ich z tego błędnego mniemania jak najszybciej wyprowadzić. Sądź więc, że bez względu na działania organów ścigania sprawą Zbigniewa D. powinni zająć się jego zwierzchnicy, a także Krakowska Komisja Kontroli Partyjnej. Bowiem jak stwierdzono na ostatnim plenum KKPK zakończenie okresu rodziców nie oznacza wcale partyjnej pobłażliwości i obdarzania zaufaniem ludzi, którzy na takie zaufanie nie zasługują.

JANUSZ HANDEK

Obyczaje szefa...

Z
W
Y
S
T
A
W
Y
V
E
N
U
S



A. Umlauf: „Mona Lisa”.